

P O Z N A Ń S K I



PEGAZ

FINANSE - KOMUNIKACJA SPOŁECZNA - KULTURA 58/2004



Poznać się i zrozumieć

Pegaz proponuje

Estonia w „Pegazie”

Program Dnia Estońskiego s.1

Rad jestem, że motorem działań redakcji zaangażowanej w przygotowanie kolejnego numeru naszego pisma, stała się tym razem możliwość zaprezentowania Estonii – kraju niewielkiego wprawdzie, lecz urokliwego i za-mieszanego przez wrażliwych, przedsiębiorczych i dumnych ze swojej tożsamości ludzi. To jeden z naszych towarzyszy, wraz z którym wstępujemy wkrótce w szeregi Unii Europejskiej. Dwudniowe spotkanie z Estonią i jej mieszkańcami, którego dotąd w Poznaniu nie było, przypomina nam, że w wielkiej europejskiej rodzinie musimy poznać się lepiej, aby tym łatwiej osiągnąć porozumienie.

W czasie Dnia Estońskiego zapewne rozmawiać będziemy po angielsku. Ten międzynarodowy język, którego już wkrótce nie będzie wypadało nie znać, jest też bohaterem jednego z wywiadów tej edycji „Pegaza”. Nie zapominajmy, że oprócz mowy, są też inne środki komunikacji; porozumiewać się można poprzez różne dziedziny sztuki, o których tradycyjnie nie zapominamy. Wreszcie porozumieniu i poznaniu służy wzajemna wymiana informacji, toteż z satysfakcją witamy kolejne porozumienie, jakie podpisała Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych, a w wyniku którego powstanie Wielkopolskie Centrum Kształcenia Dziennikarzy, z myślą – między innymi – o szerokich kontaktach w ramach rozszerzającej się wspólnoty. Poznać się i zrozumieć – to hasło aktualne staje się już dziś.

Rozmowa z ambasadorem Aivo Oravem s.2

Przeszłość i teraźniejszość s.5

Sport s.19

Z życia WSUS: Wielkopolskie Centrum

Kształcenia Dziennikarzy s.7

Traktat o dobrym smaku s.8

Skuteczny polityk i pisarz s.10

O kulturze w Poznaniu z Włodzimierzem
St. Gorzelańczykiem s.16

O języku angielskim w świecie
z prof. Jackiem Fisiakiem s.22

Sportowcy z importu s.26

Czterdziestolecie Akademickiego Klubu
Seniora s.32

Muzyka łączy narody i pokolenia s.38

Opowieści Krzysztofa Smury:
O karnawale s.45

Recenzje wystaw s.12, 14, 29, 40, 48

Prezentacje książek s.9, 13, 31, 41-44

FINANSE - KOMUNIKACJA SPOŁECZNA - KULTURA

Redakcja: ul. Romka Strzałkowskiego 5/7
60 854 Poznań, tel. 848 30 35
Redaktor naczelny: Tomasz Dymaczewski
Opracowanie graficzne: ORNATUS tel. 0 600 332 920
Druk i oprawa: STARDRUK, Poznań, ul. Św. Antoniego 24,
Wydawca: Ośrodek Badania Rynku Sztuki Współczesnej
Poznań, ul. Lubeckiego 24

ISSN 1232-3292

© © Poznań 2004, Wszelkie prawa zastrzeżone

nr indeksu 468



Program obchodów Dnia Estońskiego w Poznaniu



25 lutego 2004 r.

godz. 14.00 przyjazd Ambasadora Estonii Aivo Orava do Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych w Poznaniu

godz. 15.00 spotkanie z członkami Wielkopolskiego Klubu Kapitału w hotelu „Mercure”

godz. 16.30 zwiedzanie Poznania

godz. 19.00 koncert na Zamku w Kórniku

26 lutego 2004 r.

godz. 09.00 spotkanie Ambasadora Estonii z JM prof. Stanisławem Lorencem, rektorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

godz. 10.15 spotkanie Wojewody Wielkopolskiego z Ambasadorem Estonii, konsulem honorowym Estonii, rektorem Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych oraz prezesem Stowarzyszenia „Pro Estonia”

godz. 11.00 wykład „Współczesna Estonia” wygłosi Ambasador Republiki Estonii w Polsce (Wielkopolski Urząd Wojewódzki)

godz. 12.00 otwarcie wystawy fotogramów „Morskie pejzaże Estonii” w holu głównym Wielkopolskiego Urzędu Wojewódzkiego

godz. 12.30 konferencja prasowa Wojewody Wielkopolskiego i gości na temat obchodów Dnia Estońskiego

Nasz naród jest mały, ale dumny

Rozmowa z Aivo Orav'em, ambasadorem Republiki Estonii w Polsce



Panie ambasadorze, Estonia to kraj o pięknej i bogatej historii, w której nie brakowało zarówno patriotów, jak i uczonych i artystów. Kogo z pośród swoich znakomitych przodków Estończycy cenią dziś najbardziej?

Estonia znajdowała się pod obcym panowaniem prawie więcej niż 700 lat, to znaczy, że na estońską kulturę wywierały wpływ Niemcy, Szwedzi, Duńczycy, Polacy i Rosjanie. Nasz naród jest bardzo mały

- 1,4 miliona ludzi, tak więc ludność całego naszego kraju jest mniejsza niż w Województwie Wielkopolskim, jednak w Estonii jest wiele ludzi którzy są ważni nie tylko dla Estończyków ale również dla innych krajów. Mówiąc o literaturze, chciałbym wymienić trzy nazwiska- Anton Hansen Tammsaare, Jaan Kross'a i Jaan Kaplin-skiego. Ich książki zostały przetłumaczone na wiele języków w tym także na język polski. Jaan Kross był kilkakrotnie nominowany do nagrody Nobla i miejmy nadzieję, że pewnego dnia otrzyma ją. Jaan Kaplinski ma polskie pochodzenie, co wielokrotnie podkreśla. Słynni są również sportowcy Estońscy Erkki Nool, zwycięzca Olimpijskiego złotego medalu w dekatlonie i Andrus Veerpalu, Światowy Mistrz w narciarstwie przełajowym. Na szczególną uwagę zasługuje światowej sławy kompozytor Arvo Pärt, który jest również bardzo znany w Polsce. Były prezydent Estonii Lennart Meri jest także znany wszystkim, którzy interesują się europejską polityką zagraniczną. I może jak powinienem wspomnieć na początku bardzo słynna jest także światowej sławy top modelka Carmen Kass, której twarz można zobaczyć w reklamie prawie każdej perfumerii.

Wśród blisko półtora miliona mieszkańców Pańskiego kraju liczną grupę stanowią Rosjanie, mniejsze, choć także liczące się zbiorowości to Ukraińcy i Białorusini. Jak układają się stosunki pomiędzy Estończykami a przedstawicielami mniejszości narodowych?

Mniejszość rosyjska w Estonii jest rezultatem pięćdziesięcioletniej okupacji przez Związek Sowiecki. Jeżeli na początku lat dziewięćdziesiątych były jakieś nieporozumienia pomiędzy estońską a rosyjską społecznością to teraz nie istnieją żadne znaczące problemy. Rosjanom mieszkającym w Estonii stworzono programy do nauki języka estońskiego i większość z nich jest zainteresowana nauczeniem się estońskiego. Estońska gospodarka przeobraziła się znacząco w ciągu ostatnich dziesięciu lat, co ma wpływ na to, że mniejszości narodowe w Estonii mogą tak cieszyć się tak samo jak Estończycy z tych przemian i to przyczynia się do ułatwienia ich procesu integracji.

Na uwagę zasługuje fakt, że Rosjanie w Estonii popierają nasze aspiracje do członkostwa w Unii Europejskiej bardziej niż Estończycy. Warto również podkreślić, że więcej niż 50% młodej generacji Rosjan w Estonii popiera naszą drogę do NATO a jednocześnie kiedy Federacja Rosyjska cały czas twierdzi jak niekorzystne jest, że Estonia wstępuje do NATO. Ten fakt ilustruje najlepiej, że poglądy w różnych grupach nie dzielą społeczności mieszkającej w Estonii pod względem etnicznym ale raczej zależą od tego do jakiej generacji ludzie należą.

Począwszy od roku 1991 w Estonii dokonało się wiele znaczących przeobrażeń, między innymi w gospodarce. Dominującą początkowo w wymianie handlowej Rosję wyparła Finlandia, liczący się partnerzy to także Szwecja i Niemcy. Czy jest to docelowy model wymiany zagranicznej, czy też Pański kraj zamierza zdziałać więcej w tym obszarze współpracy?

Zima w 1991 roku była najbardziej ciężką, jaką kiedykolwiek widziałem w życiu. Sklepy były puste, nie było odpowiedniego ogrzewania w mieszkaniach. Z powodów politycznych Federacja Rosyjska ogłosiła blokadę ekonomiczną wobec Estonii. Jediną możliwością dla nas było znalezienie kontaktów biznesowych z Zachodem, co było bardzo trudne na początku i wtedy otrzymaliśmy znaczną pomoc od naszych nordyckich sąsiadów. W 1992 roku została przeprowadzona reforma walutowa w Estonii, co bardzo przyczyniło się do szyb-

kiego rozwoju estońskiej gospodarki. Głównymi estońskimi inwestorami są Szwecja i Finlandia, ale kilka lat temu Estonia stała się również krajem, który inwestuje swój kapitał do innych państw. Obecnie większość naszych obrotów handlowych jest przeprowadzana z krajami Unii Europejskiej. Teraz, kiedy spojrzymy w przeszłość możemy być wdzięczni naszym wschodnim sąsiadom, że doprowadzili do sytuacji, w której musieliśmy szybko znaleźć inne czasami nawet unikalne rozwiązania w doborze partnerów handlowych.

Dzisiaj jednym z najważniejszych czynników wspierających szybki rozwój naszej gospodarki jest info technologia. Większość transakcji odbywa się przez Internet tak więc wielu Estończyków nie było nawet w budynkach banków. Wielu Estończyków nie wie również gdzie znajduje się urzędy skarbowe, ponieważ preferuje wypełniać elektronicznie deklarację podatkową. Na sklepach estońskich jest również coraz więcej o możliwości płacenia używając telefonu komórkowego. Istnieje także możliwość wprowadzania poprawek do ustaw prawnych poprzez Internet i są one poparte przez innych to ministerstwo odpowiedzialne za dany problem rozważa takie propozycje. Dzięki możliwości takich pomysłów i sugestii powstało kilka ustaw prawnych. Aby zapobiec korupcji w Internecie można także sprawdzić wynagrodzenia urzędników administracji publicznej.

W Estonii nie brak miejsc pięknych, wartych bliższego poznania. Co szczególnie polecałby Pan uwadze potencjalnych turystów odwiedzających Pański kraj?

Estonia można powiedzieć jest krajem turystycznym. Posiadając prawie 1,4 milionową ludność gościmy około 3 milionów turystów każdego roku. Głównymi atrakcjami w Estonii są: nasza średniowieczna stolica Tallinn, nasze 2000 wysp i plaże w rejonie Morza Bałtyckiego. Wybrzeże Morza Bałtyckiego być może nie przyciągnie tak bardzo szczególnie turystów z Polski ale na pewno nasze wyspy są niezwykle atrakcyjne. Innym ważnym miejscem dla polskich turystów jest Tartu i tamtejszy Uniwersytet ufundowany przez szwedzkiego króla w 1632 roku, później stał się

Polską Szkołą Jezuicką. Barwy flagi Tartu posiadają takie same kolory jak Polska Flaga Narodowa, co jest przykładem naszej wspólnej historii.

Obecnie liczba turystów z Polski w ciągu ostatnich 4 lat zwiększa się corocznie 30-50%. Estończycy są niewielkim narodem, co przyczynia się do możliwości, że każdy Estończyk przynajmniej raz w życiu odwiedzi Polskę ale mam również taką nadzieję, że każdy Polak znajdzie także okazję do odwiedzenia mojego kraju.

Pomimo długoletniej dominacji ZSRR, Estonia nawet jako zależna od Moskwy republika potrafiła zachować w miarę wysoki poziom życia swoich obywateli, obroniła własną kulturę i tożsamość. Co takiego tkwi w Pańskich rodakach, że blisko półwieczne panowanie komunizmu przeżyli z podniesionym czołem, zachowując najcenniejsze dla siebie wartości?

To jest naprawdę cudem, że Estonia przeżyła okupację sowiecką. Może jedną z przyczyn tego jest fakt, że nasi przodkowie znajdowali się pod tyłoma obcych panowań wcześniej? W moim kraju zawsze bardzo istotnym był fakt, że dzieci dzieci dorastając posiadały coraz większą tożsamość stawiana się Estończykami. Ci, którzy uścili Estonię w 1944 roku i mieszkali w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Szwecji lub innym kraju wychowują swoje dzieci w taki sam sposób z tożsamością Estończyka, tak jak teraz ich wnukowie wracają do Estonii aby przyczynić się do rozwoju i sukcesu kraju.

Podobnie edukacja zarówno w szkołach podstawowych, jak i na wyższych uczelniach zawsze była w języku estońskim.

Bardzo ważną jest również w Estonii od 1989 roku tradycja festiwali piosenki. Podczas okupacji wiejskie ta tradycja była kontynuowana i należało na to podjąć tych festiwali pierwotnie piosenki były śpiewane o Leninie i Stalinie to pod koniec były zawsze takie piosenki, podczas których tysiące Estonczyków wstawalo i śpiewało razem, co było sposobem do zmanifestowania własnej wolności i niepodległości.

W Estonii podczas okupacji sowieckiej mieliśmy przywilej słuchania wiadomości z Radia Wolna Europa, Głosu Ame-

ryki i oglądania fińskiej telewizji. Tak więc Estończycy byli zawsze dobrze poinformowani o tym co dzieje się poza Związkiem Radzieckim. Na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy w Polsce miały miejsce bardzo ważne przemiany byliśmy informowani o tych wydarzeniach, i to także przepełniło nas nadzieją i siłą przetrwania jak również zmobilizowało nasze siły pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

Jako Estończyk stykający się na co dzień z Polakami ma Pan możliwość poznać nas lepiej niż większość Pańskich rodaków. Jakie Pańskim zdaniem wartości posiada nasz naród? Czy wzajemnie możemy przekazać sobie doświadczenia umożliwiające dalsze zbliżenie pomiędzy nami?

Estonia nie jest dokładną imitacją sąsiada Polski. Nasze stosunki układają się bardzo dobrze i nie istnieją żadne szczególne problemy pomiędzy nami. Podczas kampanii rozszerzenia NATO Estonia cieszyła się bardzo silnym poparciem ze strony Polski, zwłaszcza przez polskiego Prezydenta, za co jestem bardzo wdzięczny. Teraz zmierzając w kierunku Unii Europejskiej znamy siebie wzajemnie lepiej niż wcześniej i bardzo cieszę się widząc coraz więcej i więcej kontaktów pomiędzy Estończykami a Polakami. Estończycy są raczej spokojnymi ludźmi utrzymującymi dystans. Polski charakter jest nieco inny i dzięki temu, co zaobserwowałem podczas mojego pobytu tutaj w Polsce, Estończykom jest bardzo łatwo nawiązywać z Polakami kontakty i przyjaźnie.

Rozmawiał: Tomasz DYMACEWSKI

Prof. dr hab. Tomasz Dymacewski

A map of Estonia is shown at the top of the page. It includes labels for major cities: TALLINN, HAAPSALU, and NARVA. It also shows geographical features like Lahemaa National Park, Lake Peipsi, and Lake Võrtsjärv. The map is partially obscured by the title and text.

Estonia - kraj w Europie

Estonia (Eesti Vabariik) to liczący 45,227 km² kraj w Europie Wschodniej, nad Morzem Bałtyckim. Na północy graniczy z Zatoką Fińską, na wschodzie z Rosją, na południu z Łotwą i na zachodzie z Bałtykiem. Zajmuje północno-zachodnią część Niziny Wschodnioeuropejskiej. Do Estonii należy też blisko 2000 wysp (największe Sarema i Hiiuma) stanowiących 9,2 % powierzchni kraju, którego wnętrza charakteryzują liczne bagna, mokradła i jeziora.

Etniczna ludność państwa to plemiona Estów i Liwów. Obecnie Estończycy stanowią około 64% ludności mającego niespełna 1,4 mln. mieszkańców kraju. Drugą pod względem liczebności nacją (29%) są Rosjanie.

W całej swej historii Estonia, od 1991 roku ponownie państwo niepodległe, na niepodległość zdołała wybić się tylko dwukrotnie. Terytorium współczesnej Estonii już od średniowiecza podlegało penetracji rosyjskiej, niemieckiej oraz skandynawskiej. W XIII-XIV wieku ziemie te zostały zdobyte przez Zakon Kawalerów Mieczowych i chrystianizowane. W roku 1561 ostatni wielki mistrz Zakonu Kawalerów Mieczowych, Gottard Kettler przeszedł na luteranizm i odtąd stał się on religią dominującą. W drugiej połowie XVI wieku obecna Estonia została podzielona między Polskę (część południową), Danię i Szwecję, by stopniowo znaleźć się pod panowaniem szwedzkim, zaś od wojny północnej (1700-1721) we władaniu rosyjskim, które z przerwą na okres własnej państwowości (1918-1940) trwało aż do upadku ZSRR.

Po raz pierwszy niepodległość Estonii proklamowano 24 II 1918 roku i wówczas państwo to było republiką parlamentarną, przy czym o faktycznej niezawisłości kraju można mówić dopiero od roku 1920 po wojnie z Rosją.

Lata 1934-1940 to era autorytarnych rządów K. Paatsa, po czym już w 1939 roku na mocy traktatu Ribbentrop-Mołotow nastąpił okres wpływów sowieckich. We wrześniu 1939 roku w Estonii pojawiły się bazy wojskowe Armii Czerwonej, od czerwca 1940 roku transferp to znalazło się państwo. W 1941, po wycofaniu się wojsk niemieckich, Estonia została zajęta przez Niemców. W 1944, po wycofaniu się Niemców, Estonia została zajęta przez Rosjan. W 1945, po zakończeniu wojny, Estonia została przywrócona do Związku Radzieckiego.

Dopiero rozpad ZSRR stworzył możliwość odbudowy niepodległości i ten proces odbywał się na ziemiach estońskich w latach 1990-91. Niepodległość proklamowano ponownie w roku 1990 i kraj przyjął nazwę Republika Estońska.

Jak już wspomniano, obecna Republika Estońska ma 45,227 km². Powierzchni i liczby niespełna 1,4 mln. mieszkańców, przy gęstości zaludnienia 32 osoby/km². Linia brzegowa (bez wysp) liczy 1390 km. Największe wzniesienie Munamaagi ma 318 m.n.p.m wysokości. Najwyższe z licznych estońskich jezior, położone na południe od Zatoki Fińskiej, Peipus – wslawione zwycięstwem Aleksandra Newskiego nad Zakonem Kawalerów Mieczowych w XIII w. – ma aż 3550 km², z tym, że w granicach Estonii znajduje się 1500 km².

W kraju panuje klimat umiarkowany-kontynentalny. Stolicą jest Tallinn (434 tys. mieszkańców). W średniowieczu było to jedno z miast hanzeatyckich i nazywało się Rewel. Po estońsku (język estoński należy do grupy języków ugrofińskich) nazwa Tallinn oznacza miasto duńskie i rzeczywiście w 1219 roku władca Danii Waldemar II był pierwszym spośród jego zdobywców. Inne ważniejsze miasta to przede wszystkim Narva, Parnawa (Parnu) i Dorpat (Tartu). Obowiązuje czas wschodnioeuropejski. Walutą od 1992 roku jest korona estońska.

Estonia to kraj, który z pewnością warto odwiedzić, dysponuje bowiem wieloma atrakcjami turystycznymi. Estończycy potrafią to zresztą wykorzystać. Stawiają na turystykę, a przybyszów z innych państw zachęcają relatywnie niskie ceny.

W stolicy, położonej nad Zatoką Fińską Tallinnie, szczególnie atrakcyjna wydaje się Starówka – otoczona zachowanymi prawie w całości średniowiecznymi murami miejskimi z kilkoma imponujących rozmiarów wieżami: mieszczącymi Muzeum Marynarki Wojennej „Grubą Marynarką”, „Kriek in de Koek” z „Kriek” – słynnym oraz sięgającym 46 m. wysokości „Kriek” Hermanem”. Warto zobaczyć m. in. kościół Niguliste (św. Katarzyny z XIII-XV wieku, kościół św. Ducha z XIV wieku z bogatym wystrojem wnętrza, ruiny klasztoru Dominikanów pod wezwaniem św. Katarzyny z 1246 roku,

ratusz z XIV wieku z działającą od 1422 roku Aptekę Magistracką, czy średniowieczne więzienie i dom kata. Zwiedzając Tallinn nie wolno też pominąć Muzeum Wsi Estońskiej dokumentującego odrębność kulturową, oraz barokowego pałacu z Estońskim Muzeum Sztuki. Uliczki Tallinna zachęcają zresztą do wieczornych spacerów po Starówce, która – co warto podkreślić – znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO.

W położonej również nad Zatoką Fińską Narwie największą atrakcją jest ogromna twierdza Hermana, do końca XVI wieku pełniąca funkcję zamku krzyżackiego, o której pierwsze wzmianki pochodzą z roku 1256, a w której obecnie znajdują się liczne muzea. Jako ciekawostkę warto podać, że na tamtejszym dziedzińcu zamkowym stoi ostatni na obszarze republik nadbałtyckich pomnik Lenina.

W Parnawie, mieście nad Bałtykiem w Zatoce Parnawskiej, szczególnie interesujące są fragmenty dawnych obwarowań miejskich z XV-wieczną Basztą Czerwoną i barokową Bramą Tallińską, klasycystyczny ratusz, cerkiew św. Katarzyny z XVIII wieku, oraz dokumentujące historię miasta Muzeum Parnawy.

W Kuressaare, najważniejszym mieście na wyspie Saaremaa, uwagę przyciąga przede wszystkim poświęcone wyspie muzeum, zlokalizowane w dawnym zamku Zakonu Krzyżackiego, oraz klasycystyczne Stare Miasto. Z kolei w Haapsalu, uzdrowisku nad zatoką o tej samej nazwie – robi wrażenie zwłaszcza zamek biskupów z kościołem św. Jana z XIII wieku na starówce, oraz ruiny spalonego w 1688 roku zamku biskupów.

Warto wybrać się również do Dorpatu, uniwersyteckiego miasta nad rzeką Ema, gdzie godne zobaczenia są plac ratuszowy z klasycystycznym ratuszem, główny budynek uniwersytetu z 1809 roku, ruiny kościoła św. Jana z XIV wieku, prawosławna cerkiew Uszipieńska z XVIII wieku, Most Diabelski i Most Anielski, „Krzywy Dom” oraz Estońskie Muzeum Narodowe i Muzeum Sztuki.

Godne odwiedzenia jest też między innymi Viljandi, malownicze miasto na wzgórzach Sakala, z kolorową XIX-wieczną drewnianą zabudową na Starym Mieście, ratuszem z XVIII wieku, kościołem św. Jana z XV wieku, parkiem pałacowym z ruinami pałacu oraz interesującym muzeum regionalnym.

Wypada wybrać się także do Lahemaa – Parku Narodowego nad Zatoką Fińską. Od północy jest to silnie rozczłonkowane wybrzeże z licznymi przybrzeżnymi, bezludnymi



Tallinn

wysepkami o niepowtarzalnym świecie roślinnym. Dalej dominują już zalesione wzgórza morenowe, mokradła i jeziora z licznymi gatunkami zwierząt, zaś niewielkie miejscowości też zachowały swój pierwotny urok.

Estonia jest też krajem interesującym pod względem gospodarczym. W zakresie upraw dominują żyto, ziemniaki i len, w zakresie hodowli – nierogacizna i bydło rogate.

Dobrze rozwinięty jest przemysł stoczniowy (główne porty Tallinn i Parnawa), maszyn elektrycznych, maszyn górniczych, urządzeń precyzyjnych (głównie w Tallinnie). Również w Tallinnie rozwinięty jest przemysł włókienniczy i dziewiarski, w Narwie przemysł bawełniany, a w Tallinnie i Parnawie przemysł skórzano-obuwniczy. Przemysł spożywczy oparty jest głównie o produkty hodowli i rybactwo. W oparciu o posiadane złoża łupków bitumicznych rozwinął się przemysł chemiczny, przede wszystkim produkcja superfosfatu. Rozwinięte jest wydobywanie torfu.

Wydaje się, że Estonia może być atrakcyjnym partnerem gospodarczym, zwłaszcza, że stwarza korzystne warunki inwestowania. A już niebawem, może być o taką współpracę jeszcze łatwiej, bowiem od 1 maja bieżącego roku kraj ten, podobnie jak Polska stanie się członkiem Unii Europejskiej.

Estońscy stawiają zresztą bardzo mocno na wejście swego kraju do struktur europejskich, co podobnie jak członkostwo w NATO winno przyczynić się do wzmocnienia ich państwowości, z której ponownie cieszą się dopiero od kilkunastu lat.

Krzysztof MACIEJEWSKI

Powstaje Wielkopolskie Centrum Kształcenia Dziennikarzy

Porozumienie, które Uniwersytet imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu zawarł z Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych w maju ubiegłego roku procentuje nowymi inicjatywami.

Współpraca uczelni państwowej z niepaństwową, przybierać może rozmaite formy, jednak najcenniejszą zapewne jest wspólne podejmowanie inicjatyw naukowo-dydaktycznych. Toteż dzień 28 stycznia 2004 roku trzeba uznać za datę o wielkiej wadze, nie tylko zresztą dla obu szkół wyższych. Aneks do umowy o współpracy UAM i WSUS podpisany tego dnia, powołał do życia Wielkopolskie Centrum Kształcenia Dziennikarzy. Tym właśnie tłumaczy się wyjątkowość owej daty.

Centrum stać się ma szeroko pojmowaną bazą podnoszenia kwalifikacji dziennikarzy z całego regionu. – Instytut Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM wspólnie z WSUS przygotowuje program kształcenia dziennikarzy – powiedział po podpisaniu porozumienia dr Tadeusz Wallas, zastępca dyrektora Instytutu. – Będzie to przedsięwzięcie wielopłaszczyznowe, obejmujące między innymi przygotowanie do wykorzystywania nowoczesnych metod zbierania informacji, pozyskanie wybitnych autorytetów dziennikarskich do szeroko rozumianej współpracy, a w perspektywie integracji



europejskiej, a także osiągnięcie kompatybilności metod dziennikarskich do tamtejszego rynku mediów. Poszczególne akcenty naszej współpracy rozłożone zostaną w ten sposób – mówił dalej dyrektor Wallas – iż Instytut obejmie nad Centrum opiekę naukową, Szkoła zaś organizacyjną i dydaktyczną. – Nie oznacza to, że nasza uczelnia nie będzie również kształciła dziennikarzy – uzupełniał wypowiedź współsygnatariusza porozumienia rektor WSUS, prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz. – Kształcić będziemy wspólnie, bowiem nasi partnerzy zapewniają udział w przedsięwzięciu swoich pracowników naukowych, którzy podnoszą będą kwalifikacje zawodowe dziennikarzy na równi z naszą kadrą. Jednak sama siedziba Centrum znajdować się będzie w naszej uczelni. WSUS zapewni też bazę lokalową i niezbędne wyposażenie. Godzi się podkreślić – dodał rektor Iwaszkiewicz – że w ślad za Warszawą i Krakowem, również Poznań wzbogaca się o nowoczesne centrum kształcenia kadr dziennikarskich, które zajmować się będzie doskonaleniem wszelkich form aktywności zawodowej, łącznie z tymi, o których Polacy jeszcze nie wiedzą, a więc teorią konwergencji. Niezmiernie rad jestem, że czynimy kolejny ważny krok na drodze ku tworzeniu nowoczesnego – także pod względem medialnym – społeczeństwa.

W ceremonii podpisania porozumienia brali udział (od lewej): dr Tadeusz Wallas, prof. dr hab. Jan Grad, dziekan Wydziału Nauk Społecznych UAM oraz JM rektor WSUS, prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz



Tomasz DYMACEWSKI

Traktat o dobrym smaku

Mogłoby się wydawać, że temat kulinarny został już ostatecznie w literaturze wyczerpany. Powstały znakomite podręczniki kucharskie, wiemy niemal wszystko o kuchniach narodowych, w każdym większym mieście zakosztować można i jadła wykwintnego i nieobecnej na domowym stole egzotyki. Zatem – o kuchni powiedziano wszystko, a jednak dziś przychodzi prezentować niezwykłą książkę, która traktuje o dobrym smaku, a zarazem jest tego smaku – dosłownie i w przenośni – esencją.

Mirosław Słowiński, wytrawny znawca kuchni orientalnej i staropolskiej, od lat prowadzący znaną i cenioną w Poznaniu restaurację, napisał książkę, która poświęcona została potrawom, choć właściwiej byłoby powiedzieć, iż bohaterem jej jest właśnie smak. Dobry smak. Wychodząc z założenia, że wszystko co dobre, nie powinno być serwowane w nadmiarze, autor starannie przemyślał zarówno układ swej książki, jak i jej zawartość. Efektem stała się rzecz treściwa, posiadająca zarazem cechy pasjonującej opowieści, którą śledzi się z zapartym tchem.

Mirosław Słowiński przyznaje, że zamysł napisania tej jedynej w swoim rodzaju pozycji narodził się stosunkowo dawno, jeszcze przed przystąpieniem do produkcji „Quo vadis”. Przypadkowa w gruncie rzeczy wizyta w jednym z paryskich klasztorów legła u podstaw głębszej refleksji. Oto zakonny kucharz uraczył zgromadzonych wokół stołu potrawami prostymi z pozor, wykwintnymi jednak poprzez rozmaite dodatki, których użycie podyktowała mądrość wieków. Stąd pomysł, który z czasem przyobłął się w kilka opowieści nie tylko o samej kuchni, lecz przede wszystkim o ludziach gromadzących się wokół stołów.

Lektura „Czterech uczt...” fascynuje, zadziwia, momentami nawet szokuje. Jak choćby stwierdzenie autora, że najlepszą przyprawą jest... strach. Zgoniona dziczyna, a nawet, o zgrozo, torturowany przed śmiercią bliźni, smakują lepiej, albowiem strach wyzwala specyficzne, jedyne w swoim rodzaju aromaty, nieosiągalne w innych okolicznościach. Tu niski pokłon

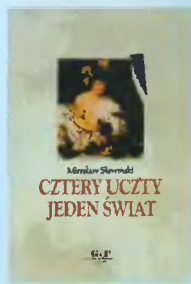
wobec rzetelności i docieklowości Mirosława Słowińskiego, który przeprowadzając żmudną kwerendę w jednym na świecie muzeum kanibalizmu w

Suvie (archipelag Fidżi), udostępnił nam po raz pierwszy przeogromny zasób wiadomości na temat kanibalizmu, piętnując go jako moralnie wstrętny, uprawiany wszakże od zarania istnienia ludzkości proceder.

Niezwykła książka, jedyna jak dotąd w polskiej literaturze, przyciąga uwagę od pierwszej do ostatniej strony. Precyzyjna a zarazem oszczędna w środkach narracja autora silnie kontrastuje z materią tu przedstawianą. Albowiem przychodzi czytać nam o wystawnych ucztach i o obyczajach, które narodzić się mogły jedynie w cieniu suto zastawionego stołu. Jadło jest nieodłącznym uczestnikiem, niemym świadkiem dysput filozoficznych, religijnych obrzędów, czasami zaś doskonale, niczym nieskrępowanej zabawy. W szczególności też wszystko to, co wiąże się z przygotowywaniem i spożywaniem posiłków łączy ludzi różnych kultur i wywodzących się z różnych społecznych środowisk. Głód – przypomina autor – to nie tylko negatywnie odbierane zjawisko. To także motor postępu i rewolucji w obyczajach i trybie życia. Dwie kuchnie, które Mirosław Słowiński darzy szczególną estymą – chińska i włoska – powstawały i rozwijały się w warunkach, w których pragnienie sytości stanowiło podstawowy determinant wszelkich poszukiwań.

Gorąco zachęcam, aby tę niezwykłą książkę, ciekawie i w sposób przemyślany ilustrowaną, wzbogaconą trafnie dobranymi cytatami z wielowiekowego dziedzictwa kulinarnego, włączyć do swego księgozbioru.

Tomasz DYMACEWSKI



Mirosław Słowiński, Cztery uczt, jeden świat, G&P Oficyna Wydawnicza, Poznań 2004

Zdrowy nokaut konserwatyzmu

Roger Scruton traktowany jest w Wielkiej Brytanii jako nadzieja ruchu młodych konserwatystów. Dla pisarza i filozofa to wartościowa etykieta, bowiem wiele – jeśli nie wszystko – spośród tego, co mówi i pisze, zasługuje na wnikliwą uwagę nie tylko zwolenników, ale i przeciwników idei, jakie głosi. Tym łatwiej, iż Scrutona nie można pomijać, ani lekceważyć. Niezależnie od tego, czy się aprobeuje, czy też krytykuje ten głos, trzeba go rozpatrzeć. A głos ten jest o tyle istotny, że zawiera w sobie próbę oceny przyczyn, dla których liberalny Zachód i fundamentalistyczny islam stanęły wobec widma totalnej konfrontacji.

Scruton nie jest fantastą, toteż nie stara się przekonać czytelnika o całkowitej samoistości stojącego u narodzin zachodnich demokracji racjonalizmu i wschodzących z niego kierunków. Racjonalizm jest jego zdaniem logicznym ogniwem w łańcuchu ewolucji ludzkiego umysłu, ma jednak swoje korzenie w uniwersalnym porządku świata, w którym władza świecka i duchowa zgodnie sprawowały rządy. W opozycji staje islam, dla którego państwo i wytworzony przezeń aparat przymusu jest złem i to nie zawsze koniecznym. Państwa teokratyczne nie sprzeciwiają się nauce Proroka, wręcz przeciwnie, stanowią ucieleśnienie jego nauk i wskazań. To, co wydaje się nam naruszaniem praw człowieka, poniżaniem ludzkiej godności, jest dla islamu dowodem na nieomyślność prawdziwej wiary.

Studiując Scrutona łatwiej zrozumieć, dlaczego wykształceni muzułmanie o współczynniku inteligencji przewyższającej przeciętną, często urodzeni i wychowani w Europie czy Ameryce, atakują World Trade Center czy Pentagon, lub detonują ładunki wybuchowe w zatłoczonej restauracji w Jerozolimie czy Haifie. Autor tłumaczy proces, wskutek którego świadomość owych ludzi potężnieje w oporze przeciw zasadom, jakie – w ich pojęciu – sprzeciwiają się fundamentom istnienia.

Po drugiej stronie barykady stawia Scruton dzisiejsze społeczeństwo Zachodu, które wciąż uzbrojone w pancerz relatywizmu, przekształca się pod nim we

wspólnotę – jak ją określa – feminizmu. Nie jest to bynajmniej agresja skierowana przeciw mężczyźnie, a jedynie – jak dowodzi – rozmontowanie tradycyjnych wartości społecznych opartych na określonych strukturach hierarchicznych bez przedstawienia alternatywy. W upraszczającym ujęciu – wiemy, czego nam nie wolno, nie wiadomo natomiast zbyt dokładnie co nam wolno, a już z pewnością nie wiemy, co powinniśmy czynić. Na pytanie, czy holdujące tym zasadom społeczeństwo zmierza do autodestrukcji autor odpowiada twierdząco, na kolejne – czy możliwa jest samozagłada tak zainfekowanych struktur, jednoznacznej odpowiedzi nie udziela.

Jak już wyżej zaznaczyłem, z tezami Scrutona można się zgadzać, lub je negować. Mamy jednak wolny wybór, który stanowi cenny atrybut demokracji. Tak czy owak, postawienie sobie pytań o granice globalizacji a także o granice poprawności politycznej wydaje się sensowne i celowe. Scruton każe się nam zastanowić, czy furia terrorystów jest ślepa i czy sami nie sprobowaliśmy sytuacji, w której stajemy do konfrontacji z siłami, których pojąć i zrozumieć nie możemy, mimo uporządkowania i zhierarchizowania świata, w którym żyjemy... Tę książkę czyta się nie tylko z pasją, ale przede wszystkim z pełną szacunku uwagą.

Tomasz DYMACZEWSKI

Roger Scruton, Zachód i cała reszta, Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2003





Skuteczny polityk i pisarz

Rzecz o spotkaniu z Grzegorzem Rydlewskim, winniśmy rozpocząć od informacji podstawowych. Zatem: 16 stycznia bieżącego roku, w sali Biblioteki Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych w Poznaniu, licznie zgromadzeni wykładowcy, studenci i przyjaciele Szkoły stanęli oko w oko z jednym z najciekawszych i najbardziej wszechstronnych kreatorów polityki polskiej ostatnich lat. Grzegorz Rydlewski nie jest zapewne człowiekiem, z którym dane jest zetknąć się na pierwszych stronach gazet. Nie na tym polega jednak jego wyjątkowa rola. W przeciągu ostatnich lat doradzał kolejnym ośmiu rządów Rzeczypospolitej Polskiej. Były to gabinety o różnych politycznych orientacjach i diametralnie nieraz odmiennych społecznych preferencjach. Łączyło je jednak zadanie, które wobec wszystkich – premierów i ministrów – stawiało tę samą, uniwersalną potrzebę. Owa potrzeba to sterowanie nawą państwa.

Rektor WSUS, prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz witając gościa przypomniał, że jest on nie tylko ministrem, lecz także dydaktykiem, wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego i autorem kilku cenionych prac z zakresu teorii polityki i administracji. Na spotkanie przy ulicy Strzałkowskiego przywiózł swoją najnowszą książkę „O skutecznym działaniu w polityce”. - Książka ta przeznaczona jest nie tylko dla polityków, choć nadano jej formę przykazań dla aktorów publicznej sceny - mówił prof. dr hab. Jan Wawrzyniak prezentując nową pozycję warszawskiego Domu Wydawniczego „Elipsa”. - Okładka ma wymiar symboliczny. Grafika i sposób umieszczenia nadtytułu nawiązują bowiem do słynnej manifestacji Marcina Lutra dokonanej na drzwiach kościoła w Wittemberdze. Sama

zaś książka, którą dzisiaj Państwu prezentujemy - mówił dalej profesor Wawrzyniak - powołać się może na znakomitych przodków. Liczą się do nich i „Książę” Niccolo Machiavelli i „O skutecznym rad sposobie” uczonego pijara, księdza Szymona Konarskiego. Oddając należny hołd tradycji, jest ta książka zarazem szerokim oglądem rzeczywistości i współczesności relacjonowanej i ocenianej z różnych punktów widzenia.

Grzegorz Rydlewski prezentując książkę, z właściwym sobie poczuciem humoru zauważył, że zamysł jej powstania zawdzięcza z jednej strony swoim kolegom – profesorom uniwersyteckim, którzy doradztwo polityczne rozpatrują jako ofiarę nauki na ołtarzu codzienności, z drugiej zaś strony politykom, dla których rozważania uczonych wydają się oderwane od prawdziwego życia. Sam Rydlewski, określający się żartobliwie „technologiem polityki” przyznał, że wieloletnie doświadczenie podyktowało mu stworzenie książki odmiennej nieco od pozycji z dotychczasowego swego dorobku; jej przewodnią ideą miało być przekazanie rozwijanych przez wiele pokoleń ludzi zajmujących się polityką, myśli i spostrzeżeń w możliwie przystępnej formie, atrakcyjnej dla szerokiego grona odbiorców, nie tylko bezpośrednio zaangażowanych w jej uprawianie.

Wspominałem wcześniej, że Grzegorz Rydlewski jest autorem kilku cenionych prac traktujących o systemie rządzenia i uwarunkowaniach zaplecza rządzących. Pozycje takie, jak „Rządzenie koalicyjne w Polsce...”, „Służba cywilna w Polsce...” czy „Rządowy system decyzyjny w Polsce...” są wciąż uważnie czytane i analizowane nie tylko przez studentów nauk politycznych. Jednak wiedza tam zawarta jest siłą rzeczy dostępna dla sto-

Od lewej: prof. prof.: Jan Wawrzyniak, Grzegorz Rydlewski, Michał Iwaszkiewicz



sunkowo niewielkiej grupy osób na codzień zajmujących się poruszaniem w owych książkach problematyką. „O skutecznym działaniu w polityce” stanowi natomiast udaną próbę rozszerzenia kręgu wtajemniczonych, przede wszystkim o zbiorowość rządzących.

W Polsce utarło się przekonanie, że polityka jest w gruncie rzeczy domeną ludzi zaangażowanych w swoje działania, a przy tym energicznych, znających realia codzienności i „zaprogramowanych na sukces”. Grzegorz Rydlewski nie obala tych poglądów – bowiem wymienione tu przymioty liczą się rzecz jasna w arsenale środków, jakimi winien rozporządzać „rasowy” polityk – wskazuje jednak na nadmierne upraszczanie wizerunku skutecznego uczestnika życia publicznego. Sięgając do bogatego arsenału wypowiedzi mężów stanu, dyplomatów, uczonych, pisarzy i dziennikarzy z różnych epok, komentuje ich myśli, czasem uzupełniając je i zaopatrując w odautorski komentarz. Często radzi, czy wręcz podpowiada, jaką postawę należałoby przyjąć w obliczu sytuacji trudnych, wymagających zdecydowanych, acz taktownych ruchów.

„O skutecznym działaniu w polityce” przybrało konstrukcję swoistego dekalogu, nie jest to jednak zbiór przykazań, ani też uniwersalnych przepisów, które z powodzeniem można zastosować „w ciemno”. Myślenie w polityce to – zdaniem Rydlewskiego – wyrażenie wyartykułowanym w książce – nie tylko wytyczenie celu, do którego się zmierza. Co najmniej równie ważne jest przygotowanie dróg, jakie do niego wiodą i dalej, uświadamianie sobie istnienia horyzontu, w perspektywie którego wytyczony cel jest w swojej istocie jedynie przystankiem w drodze. Dojrzały i świadomy swej wartości polityk nigdy nie zakłada dotarcia do kresu swoich możliwości. Gdyby tak było, z góry przygotować się powinien na ewentualność porażki. Skuteczny polityk – jak przypomina wielokrot-

nie autor – nigdy nie zaprzestaje pracy nad sobą, doskonalenia pozytywnych cech własnej osobowości. Rozwijanie umiejętności kontaktów interpersonalnych, wzbogacanie środków oddziaływania na grupę zwolenników i współpracowników, nieustanna percepcja doświadczeń, to również istotne cechy, jakie powinien posiadać polityk dążący do osiągnięcia sukcesu. Należy też – Grzegorz Rydlewski kładzie na to szczególnie nacisk – nieustannie rozwijać w sobie ową iskrę bożego daru, jakim okazuje się możliwość wywierania wpływu na innych i przekonywanie ich do własnych koncepcji.

Autor – co widać na pierwszy rzut oka – przygotował się starannie do wydania tej pozycji. Nie zwodzi nas pozornie lekki ton, ironia wielu przemyśleń. Nie jest to satyra na politykę, wręcz przeciwnie, Rydlewski kłania się jej z szacunkiem tym większym, iż sam jest wytrawnym znawcą jej zawilgocenia nieraz arkanów. Teżę tę potwierdza trud przygotowania dialogu z odbiorcą. Wytluszczenia, druk kursywą, dobór cytatów, podkreślanie źródeł, z których zaczerpnięte zostały myśli i uwagi, wszystko to tworzy jedyny w swoim rodzaju klimat porozumienia z czytelnikiem. Nie ma tu słów zbędnych ani ozdóbników stosowanych w celu przyciągnięcia naszej uwagi. Autor świadomie zrezygnował z takiej konwencji starając się – i chwalił mu za to – pozostać uczciwym i wiarygodnym w materii przekazywanych rad i uwag. To jeszcze jeden powód, dla którego warto i trzeba tę książkę przeczytać.

Grzegorz Rydlewski jest skutecznym politykiem co udowodnił poprzez lata owocnej pracy jako doradca kilku kolejnych ekip rządowych. Okazał się także przekonującym i co za tym idzie – skutecznym pisarzem, wobec którego wyraził prostego uznania to stanowczo zbyt mało. Toteż autorski wpis w egzemplarzu książki, którą otrzymałem podczas spotkania w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych szczególnie sobie cenię. Podobnie jak możliwość poznania i wysłuchania człowieka ciekawego i świadomego wagi opinii i poglądów, jakie miał do przekazania. Mam nadzieję, że takich spotkań doświadczyć jeszcze w przyszłości więcej.

Tomasz DYMACEWSKI
fot. M. Siłwiński

Współczesna fotografia fińska



– To pierwsza i jedyna taka wystawa w naszym kraju – tymi słowami Anna Hryniewiecka, wicedyrektor Centrum Kultury „Zamek” w Poznaniu, otworzyła naprawdę niezwykle ekspozycję – wybór współczesnej fotografii fińskiej, zupełnie nieznanego polskiemu odbiorcy. To pierwsza okazja zapoznania się z ich twórczością na większą skalę – a trzeba przyznać, że pod wieloma względami jest to sztuka naprawdę zaskakująca.

Przede wszystkim zaskoczeniem jest fakt tej ogromnej różnorodności wątków poruszanych przez artystów – od problemu uchodźców i biedy w północnych regionach Finlandii po zabawne, z nutką nostalgii, reminiscencje pobytu w Paryżu... Zaskakują, ponieważ nie mieszczą się w dominującym stereotypie fińskiej sztuki, zgodnie z którym w tej fotografii powinien dominować pejzaż. Ale nawet on odbiega od tradycyjnego wyobrażenia fińskiego krajobrazu, jaki w nas utrwaliły biura podróży. Brakuje tu malowniczych, ale pfaskich widoczków, są za to wspaniałe krajobrazowe fotografie, w których uderza niesamowite wręcz wyczucie i uchwycenie przestrzeni oraz doskonale oddanie delikatnego, charakterystycznego światła Północy.

Równie wielka precyzja i wrażliwość widoczna jest w drobiazgach: oto seria zdjęć wychwytyjących z niezwykłym talentem drobne, codzienne elementy życia. Oczywiście, można je uznać za mało istotne, ale w końcu to właśnie z nich składa się życie i to one stanowią o jego uroku: jakaś chwila na plaży, gdzie najważniejsze jest wspomnienie cudownego słońca i opalonej na brązowo skóry; cienie rzucone na żaluzje przez rośliny stojące na parapecie, które usiłują przepchać ciekawskie gałązki na drugą stronę okna; i wreszcie

karteczka z napisem „I love you” – może walentynkowa? – widoczna spod grubej warstwy lodu dzięki ogromnemu, czerwonemu sercu...

A znacznie bardziej wstrząsającym komentarzem do rzeczywistości są na przykład prace Jyrki Parantainen zrobione w Bibliotece Narodowej w Sarajewie o niezwykle wymownym tytule „Krematorium dla 3 milionów książek”...

– Twórcy tych prac nie odwzorowują niewolniczo świata, w którym żyją, choć pozornie można mieć takie wrażenie – tłumaczy Janusz Nowacki, znakomity poznański fotografik i szef Galerii Fotografii „pf”. – Ale kiedy wpatrzymy się uważnie, to okaże się, że zarejestrowany obraz rzeczywistości jest tylko pretekstem do niezwykle przejmującej manifestacji swoich przemyśleń i poglądów...

Lilia ŁADA
fot. CK „Zamek”



Esko Mannikko, z cyklu
Organized Freedom, 2001

Nauki dobrego rabina

Harold S. Kushner, amerykański rabin - jeśli wolno posłużyć się tym nie w pełni precyzyjnym, jednak oddającym faktyczny stan rzeczy określeniem - wykorzystuje wieloletnie doświadczenie wypływające z pracy w obrębie wspólnoty, której przewodzi, do konstruowania głęboko przemyślanych opowieści o zawłóściach ludzkiego życia. „*Być kimś*” to jeśli nie najważniejsza, to przynajmniej jedna z najbardziej znaczących pozycji w jego dorobku. Formalnie - jak zawsze - przyświeca mu cel umoralnienia poprzez gawędę czyli tego, czemu poświęca się w pierwszym rzędzie w swojej posłudze religijnej. Jednak nieklamany talent pisarski sprawia, że autor obcuje z czytelnikiem tak, jakby nie rozdzielały ich stronnice książki - medium w pewnym stopniu ograniczającego osobisty kontakt a zarazem osłaniającego pisarza pewnym nimbem tajemniczości.

Kushner nie potrafi, a nawet zapewne nie chce być tajemniczy. Wychodzi do nas wprost ze swoim przesłaniem o doskonałości człowieka, która - paradoksalnie - tkwi w dwoistości jego natury. - Nie możemy być zdecydowanie dobrzy - naucza Kushner. Gdybyśmy kierowali się wyłącznie idealizmem, a swoje czyny wartościowali wyłącznie dobrymi pobudkami, prawdopodobnie jako jednostki przestalibyśmy być skuteczni, a z całą pewnością stalibyśmy się społecznie bierni. Odrobina egoizmu, chęci pozostawienia po sobie śladu w świadomości bliźnich, a także - możliwość naprawiania nie zawsze szlachetnych pobudek, jakie motywują nas do podejmowania działań, sprawiają, że znajdujemy okazję do pracy nad sobą, do poprawiania własnego wizerunku, a co za tym idzie - także do bycia lepszymi. Ta dwoistość ludzkiej natury jest tak stara jak dzieje ludzkości - naucza Kushner. I aby nie być głośnym, sięga do przykładów z najpopularniejszej księgi świata - Biblii.

Bohaterem „*Być kimś*” jest w jakiejś mierze patriarcha Jakub. To do jego żywota odnosi się większość myśli autora a niezrządkiem wydarzenia z Jakubowego żywota



stanowią ostateczne odniesienie wobec historii nawet współczesnych. Autor nie kryje zresztą, że Jakub jest tym bohaterem Pisma, który go szczególnie fascynuje poprzez złożoność biografii i typowo ludzką skłonność do popełniania błędów i „podążania na skróty”. Przez stronnice tej książki przewija się też postać proroka Jeremiasza - tragicznego wieszczka, odrzuconego przez własną społeczność z powodu niepopularnych prawd, jakie głosił. Dla Kushnera są to osobistości godne szczególnej uwagi, właśnie poprzez dwoistość swojej natury. Jakub walczy ze swoim ego upostaciowionym w aniele, który go okalecza i zwyciężając - paradoksalnie - czyni go lepszym. Jeremiasz spotykając fałszywego proroka życzy wraz z nim pomyślności i zwycięstwa Żydom, bo takie jest jego nastawienie jako prawowiernego członka wspólnoty. W zaciszu domowym zaś stawia sobie pytanie, czy jest prawdziwym prorokiem Pana i czy wieszczba klęski i niewoli, którą głosi jest prawdziwym głosem Boga?

Dobro nie jest nam dane w kołysce, nie przychodzimy z nim na świat - naucza Kushner. Jak wielu innych wartości, tak i dobra możemy się w życiu nauczyć w pracy nad sobą, naśladowaniu innych, słuchania głosu dobrej części swojej natury. Być kimś, to nie znaczy być człowiekiem sukcesu. Być kimś to przede wszystkim być w zgodzie z samym sobą i żyć tak, aby lepsza strona naszej duchowości mogła znaleźć swobodne ujście. Wówczas będziemy esencją wartości nie tylko dla siebie, ale i dla innych - przekonuje dobry rabin w swej wartościowej i godnej uważnej lektury książce.

Tomasz DYMACEWSKI

**Harold S. Kushner, *Być kimś*, Zysk i S-ka
Wydawnictwo s.j., Poznań 2003**

Cmentarz, którego nie ma

Pozostał tylko krzak bzu... – tymi słowami Janusz Marciniak, profesor poznańskiej ASP, rozpoczyna opowieść o swojej najnowszej wystawie, którą można oglądać na parterze Galerii Miejskiej „Arsenał”. Wystawie poświęconej cmentarzowi, którego nie ma.

Ten niezwykle, żydowski cmentarz zajmujący tak szczególne miejsce w sercu artysty mieścił się niegdyś przy ulicy Głogowskiej w Poznaniu. Później wybudowano tam domy mieszkalne, a w jednym z nich upłynęło dzieciństwo artysty. O dawnym przeznaczeniu tego miejsca świadczyły tylko stara żeliwna furtka, gwiazda Dawida na jednej ze ścian sąsiednich kamienic i... kości, które można było wykopać z piasku na okolicznych podwórkach aż do lat 60 – tych ubiegłego wieku. Dziś nie ma już furtki, gwiazdy Dawida również, a jedynym reliktem tamtej przeszłości jest stary krzak bzu, który kiedyś ocieniał cmentarny płot...

– Na tym podwórku dorastałem i podczas zabaw razem z kolegami natrafialiśmy na te kości – wspomina artysta. – Pamiętam też, że ta ocalała na ścianie gwiazda Dawida budziła we mnie niewytłumaczalną fascynację, choć przecież wtedy nie wiedziałem jeszcze nic o historii tego zakątka.

Może nie powinno to dziwić – w końcu nie tak dawno okazało się, że i o ich zagładzie w czasach drugiej wojny światowej też nie wiemy wszystkiego... Ale kto dzisiaj pamięta o tym, że w Poznaniu urodził się i podobno był nawet przez jakiś czas rabinem Jehuda Ben Becalel, legendarny

Jedwabne (10.07.1941) albo moja polska flaga, fragment, 2001

nie zdążyłem ocalić
ani jednego Życa

nie umiałem zatrzymać
ani jednej kuli

więc krążę po cmentarzach
których nie ma
szukam słów
których nie ma
biegnę

na pomoc nie wołaną
na spóźniony ratunek

chcę zdążyć
choćby ponieważ

Wielcy i zapomniani

Wraz z pojawieniem się wiedzy o tej historii przyszła też refleksja o szczególnej ignorancji pokolenia powojennego nie wiedzącego tak naprawdę nic o Żydach, którzy przez tyle wieków współtworzyli historię tego miasta.

twórca Golema, wielki uczony, matematyk i astronom, pochowany w Pradze? Kto wie, że na tym właśnie cmentarzu, którego nie ma, został pochowany słynny rabin Akiba Eiger, do którego grobu – gdyby istniał – pielgrzymowaliby Żydzi z całego świata?

Teraz na dawnym cmentarzu stoją garaże i śmietnik, a odwiedzający czasami to miejsce potomkowie tu pochowanych Żydów krążą niepewnie po cementowym, obskurnym chodniczku między budynkami. Wystawa jest więc próbą symbolicznego przywrócenia cmentarza do życia – przynajmniej w naszej świadomości. Jest też próbą oddania nam części historii tego miasta, części naszej własnej tożsamości – i bezlitosnym obnażeniem tego, co w swej bezmyślności i nieczułości możemy zrobić...

Od Oświęcimia do bzu

Na wystawie obok fotografii z Oświęcimia i Brzezinki jest też projekt pomnika Janusza Korczaka i prace poświęcone Edycie Stein. Obok Tryptyku „Jedwabne” są surowe w swoim naturalizmie obrazy przedstawiające podwórka, gdzie dawniej był cmentarz – wśród nich to z grobem rabina Eigera...



Zwój (studia), grafika komputerowa, 2002



Poszukiwanie grobów II, akryl, 2003

Są też nieledwie sielskie w wyrazie fotografie cmentarza żydowskiego w Trzcielu, pełnego macew ukrytych w wysokiej trawie prześwietlonej słońcem – i jest to niezwykle malownicze, dopóki widz nie uprzytomni sobie, że to jeden z niewielu ocalałych cmentarzy żydowskich w Wielkopolsce...

I Zwój, przypominający z wyglądu Torę, który jest symbolicznym zapisem, impresją na temat żydowskich losów...

A wśród tego wszystkiego najbardziej wzruszające są chyba portrety rabina Eliakima Schlesingera. Wzbudzający szacunek starszy pan w tradycyjnym żydowskim stroju stoi pełen skupienia lub przechadza się z namaszczeniem wśród garaży i budynków na pamiętnych podwórkach – i szuka grobów tam, gdzie od lat jest już tylko bez...

Lilia ŁADA

fot. Galeria Miejska „Arsenal”

Poznań kocha kulturę i potrafi się nią cieszyć

**„Pegaz” rozmawia z Włodzimierzem St. Gorzelań-
czykiem, Dyrektorem wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Miasta Poznania**

Panie Dyrektorze. Ubiegłoroczne obchody 750. lecia Lokacji Miasta Poznania zakończyły się. Niezależnie od pozytywnych ocen wielopłaszczyznowych uroczystości, po ich podsumowaniu, nastąpi zapewne czas wytchnienia...

Otóż nie, wcale nie nastąpi. Nie odpoczynamy ani my, w Urzędzie Miasta, ani też organizatorzy kultury. Obecny czas określiłbym raczej jako kolejny etap wytężonej pracy wzbogaconej o doświadczenia wydarzeń związanych z obchodami lokacyjnymi.

Czy wiele uda się zachować z tradycji i „dziedzictwa” Lokacji?

Trzeba uważnie analizować, co z pozyskanych doświadczeń wykorzystać można - w niezmiennionej, bądź przekształconej nieco formie - dla wzbogacenia kulturalnego pejzażu miasta, co zaś ma wymiar niepowtarzalny, jednorazowy. Do takich właśnie wydarzeń należy bez wątpienia parada lokacyjna. Tego typu dokonań nie można deprecjonować powielaniem z roku na rok. Historyczny wymiar parady stanowi o jej niepowtarzalności. Z drugiej strony szereg przedsięwzięć spotkało się z tak spontanicznym przyjęciem Poznaniaków, że wręcz wypada je kontynuować. Święto

pyry, pomimo swojego ludycznego charakteru, stanowi przykład wydarzenia, w którym mieszkańcy miasta okazali przywiązanie do tradycji i satysfakcję z zaproponowanej konwencji. Dodatkowa korzyść to okazja do promocji jedynej w swoim rodzaju wielkopolskiej kuchni. Takie wydarzenia stanowią dziedzictwo obchodów lokacyjnych, które powinniśmy rozwijać.

Jak Poznań ze swoimi nakładami na rozwój kultury prezentuje się na tle innych dużych miast?

Jest to zagadnienie o tyle złożone, że nakładów na kulturę nie wolno analizować w oderwaniu od całości budżetu. Wszelkie ewentualne oszczędności rozkładane są w ten sposób, aby nie zachwiać proporcji poszczególnych obszarów. Zatem wydatki na kulturę nie mogą podlegać cięciom, które miałyby na celu wzmocnienie innych pozycji. Na tle innych miast, takich jak Kraków czy Łódź, gdzie nakłady na kulturę były bardzo wysokie, Poznań nie jest wcale na straconej pozycji. Radni naszego miasta mają bowiem świadomość, że na kulturze oszczędzać się nie da.

Takie stanowisko cieszy, czy nie obawia się Pan jednak, że deklaracje ze strony samorządu województwa o chęci przekazania największych jed-



nostek kultury miastu mogą zachwiać tym stanem równowagi?

Sprawa jest złożona i posiada wiele aspektów. Przede wszystkim zacznijmy od tego, że kwestia ta znana jest nam głównie dzięki informacjom mediów. Jak dotąd, nikt z samorządu województwa z nami na te tematy nie rozmawiał. Nie oznacza to, że się od takich rozmów odżegnujemy. Teatry Wielki i Nowy, Filharmonia i Polski Teatr Tańca to istotnie duże jednostki kultury mające swoje siedziby na terenie Poznania. Jednak z twierdzeniem, że służą one przede wszystkim Poznanianom, trzeba polemizować.

A gdyby się miały rozpocząć?

Jestem przekonany, że Władze Miasta do rozmów dotyczących sposobu finansowania poznańskich instytucji kultury przystąpią niezwłocznie. Bardzo nam zależy by oferta kulturalna w Poznaniu była bogata, urozmaicona, by mieszkańcy z z niej jak najczęściej korzystali. Trudno zarazem oczekiwać, abyśmy brali na swoje barki finansowanie tak dużych jednostek bez przeniesienia w budżecie państwa stosownych środków z województwa do miasta. Rodzić się też muszą pytania co do sposobu przekształceń organizacyjnych i własnościowych. Dla mieszkańców Poznania kwestia, kto jest organizatorem danej jednostki kultury stanowi zagadnienie drugorzędne. Podstawowym wyróżnikiem pozostaje aktywność i poziom prezentacji. Z naszego punktu widzenia natomiast istotny jest stan równowagi i zachowania proporcji finansowania poszczególnych jednostek. Nie zapomnijmy o tym, że w

naszym mieście jedną z największych jednostek kultury jest Muzeum Narodowe, które wraz ze swoimi oddziałami prowadzone jest bezpośrednio przez Ministra Kultury. Chcemy rozmawiać z wszystkimi, jeżeli z tych rozmów urodzić się może coś znaczącego.

Pomówmy zatem o tym, co wydarzy się z pewnością i to już wkrótce. Dla Poznania, podobnie jak dla całego kraju, niewątpliwym wyzwaniem stanie się udział w życiu kulturalnym europejskiej wspólnoty. Czy jesteście na to przygotowani?

Z punktu widzenia kultury, do integracji jesteście przygotowani, i to nie od dzisiaj. Jak wiadomo, porzekadło, iż kultura jest pierwszym i najlepszym ambasadorem wymiany międzynarodowej, nieustannie sprawdza się w realiach naszej pracy. Posiadając znakomitą bazę w Centrum Kultury Zamek – aktywną w wymianie międzynarodowej i zaangażowaną w nią od szeregu lat – możemy jedynie kontynuować to, co z sukcesem wcielamy w życie od dawna. Kolejnym filarem naszej europejskiej wymiany powinna stać się Biblioteka im. Raczyńskich ze swoją wspaniałą tradycją, wspartą dokonaniem aktualnymi.

Myślę, że możemy teraz gratulować sobie aktywności z lat poprzednich. Dzięki temu przygotowaliśmy w Europie grunt dla dalszych – mam nadzieję, równie skutecznych, jak dotąd prezentacji różnorodnych aspektów wielkopolskiej kultury - o której powinno mówić się za granicą jeszcze częściej, jeszcze głośniejsze i z jeszcze większym uznaniem niż dotąd.

Czy nie obawia się Pan, że wobec naszych europejskich partnerów przeważa koncepcja prezentacji dorobku polskiej kultury w „cepeliowskiej”, skansenowej szacie?

Nie sądzę. Jestem przekonany, że potrafimy pokazać Europejczykom to wszystko, co w naszej kulturze najlepsze, najbardziej wartościowe. Dziś podział na kulturę wysoką i ludyczną jest często sztuczny. W każdej dziedzinie – od malarstwa i teatru poczynając, aż po muzykę młodzieżową – możemy z sukcesem prezentować nasz dorobek. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że wciąż nie potrafimy się odpowiednio promować z naszymi dokonaniem. Jestem przekonany, że z czasem zdolamy i to ograniczenie przezwyciężyć.

Przynależność do Wspólnoty Europejskiej nie ograniczy chyba naszych kontaktów z innymi rejonami świata?

Jestem przekonany, że tak się nie stanie. Kontakty te nie są zależne od stopnia zintegrowania z państwami europejskimi. Niektóre zjawiska kulturalne, na przykład jazz, wiąże się przede wszystkim z bogatą tradycją. Tak jest w środowisku poznańskim, gdzie działalność klubu „Blue Note” zaznaczyła się obecnością szeregu wybitnych przedstawicieli tego środowiska muzycznego w naszym mieście. Muzyka młodzieżowa z kolei, zwłaszcza hip-hop, przestała być zjawiskiem niszowym, pojawiającym się niejako na marginesie kultury. Świadczą o tym choćby sukcesy Peji („Wesz” z poznańskich Jeźyc zauważone w Nowym Jorku).

Wraz z wejściem do Europy zmieni się zapewne rola „Iksa”, który w obecnej postaci zaspokaja potrzeby informacyjne przede wszystkim Poznańców. Jak widzi Pan przyszły kształt tego wydawnictwa?

„Iks” jest wydawnictwem informacyjnym, które przede wszystkim propaguje nowości z obszaru kultury, turystyki czy sportu. Baza informacyjna ogniskuje się w pierwszym rzędzie wokół wiadomości nadesłanych z zewnątrz. Jeśli mówić o ewentualnych zmianach „Iksa” – który przygotowuje zresztą własny zespół redakcyjny – sądzę, że mogą one pójść w kierunku poszczególnych mutacji językowych. Choć z drugiej strony – wobec powszechnej niemal znajomości języka angielskiego wśród osób przybywających z zagranicy – wydawana już wersja angielska może zaspokoić większość potrzeb. Sam zaś skoncentrowałem się na wydawnictwie informacyjnym nieco innego typu.

To znaczy?

Na przygotowywaniu i wydawaniu Poznańskiego Informatora Kulturalnego. Wprawdzie co miesiąc informuję o tym, co dobre w poznańskiej kulturze mieszkańców miasta w „Iksie”, jednak od kilku już lat przygotowuję także kalendarium podsumowujące wydarzenia w kulturze mijającego roku, a obok tego zapowiedzi na rok następny. Towarzyszy temu na bieżąco

uaktualniana i rozszerzana wersja informatora o instytucjach kultury, fundacjach, stowarzyszeniach i związkach twórczych w Poznaniu. Ta publikacja nosi tytuł „Co dobrego w poznańskiej kulturze” i – jak sądzę – posiada walor kompendium aktualnego przez cały rok.

Jest Pan twórcą koncepcji tego informatora. Jakie z zamieszczonych tu informacji są Pańskim zdaniem najbardziej istotne?

Nie stosowałbym takiego kryterium rozróżnień. Koncepcja, którą przygotowałem, zakłada harmonijne łączenie informacji o wydarzeniach kulturalnych, które się dokonały, jak również promocji tych, które zasługują na szczególną uwagę. Istotne znaczenie ma także ukazanie wysiłku organizacyjnego władz miasta, który to wysiłek

nie tylko w roku jubileuszowym, dostrzegalny jest w Poznaniu niemal na każdym kroku. Poprzez rozliczne i zakrojone na szeroką skalę przedsięwzięcia zaprzeczamy powierzchownemu i na szczęście coraz rzadziej przytaczanemu powiedzeniu, że „Poznań nie kocha kultury”. To nieprawda – Poznań kocha kulturę i potrafi się nią cieszyć.

Czego życzyć Dyrektorowi Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Poznania u progu nowego roku?

Spełnienia pragnień i nadziei, najpierw tych bliskich i realnych, takich jak nowa siedziba dla Teatru Muzycznego i rozbudowa Biblioteki Raczyńskich. Potem spełnienia pragnień, które zapewne nie zrealizują się tak prędko: nowych sal koncertowych i teatralnych. Jestem romantykiem – może odpowiedziane jest za to po trosze plastyczne wykształcenie – ale mocno wierzę w to, że pragnienia te nie są nierealne i prędzej czy później się ziszczą.

Życząc tego Panu gorąco, dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Tomasz DYMACEWSKI

fol. M. Woźniak



Estończycy – nacja sportowo utalentowana

Estonia (Eesti Vabariik) to kraj w Europie Wschodniej, nad Morzem Bałtyckim, którego ziemie już od średniowiecza podlegały penetracji rosyjskiej, niemieckiej oraz skandynawskiej i który na przestrzeni dziejów praktycznie tylko dwukrotnie zdołał wybić się na niepodległość. Kiedy tylko było to jednak możliwe, Estończycy udowodniali, że są nacją sportowo bardzo utalentowaną. Sportowcy w estońskich barwach z powodzeniem prezentowali się na arenie międzynarodowej zarówno w okresie międzywojennym, jak i od roku 1991, kiedy Estonia ponownie pojawiła się na mapie politycznej świata. A przecież państwo to miało wówczas – i ma obecnie – zaledwie nieco ponad 1,5 mln. mieszkańców.

W igrzyskach olimpijskich Estończycy debiutowali w roku 1920 w Antwerpii, co warto podkreślić, ponieważ niepodległość kraju została proklamowana 24 II 1918 roku, więc czasu na przygotowania nie było wiele. Mimo to, nie tylko wysłano do Belgii piętnastoosobową ekipę, ale zaznaczyła ona tam swoją obecność. Estończycy zdobyli 3 medale (1-2-0) w gronie 29 uczestniczących państw zajmując w klasyfikacji medalowej 14 pozycję. Pierwsze olimpijskie złoto dla swego kraju wywalczył Alfred Neuland, rezultatem 257,5 kg wygrywając rywalizację w podnoszeniu ciężarów w wadze lekkiej (67,5 kg). Również na ciężarowym pomoście po srebro sięgnął w wadze piórkowej (60 kg) Alfred Schmidt, a medalowy dorobek estońskich sportowców uzupełnił srebrny krążek, który w biegu maratońskim zdobył Juri Lossman. Jako ciekawostkę podajemy, że ponad 80 lat temu dystans 42,195 km przebiegnięty on w czasie 2.32.48,6.

W okresie międzywojennym Estończycy specjalizowali się zwłaszcza w podnoszeniu ciężarów, lekkoatletyce i zapasach. I właśnie te dyscypliny sportu przy-



niosły im 6 medali (1-1-4) podczas kolejnych VIII Igrzysk Olimpijskich w Paryżu (1924) i 17 miejsce w końcowej klasyfikacji medalowej wśród startujących reprezentacji 49 krajów, między innymi przed Polską, która w tej klasyfikacji zajęła 22 lokatę.

W stolicy Francji na najwyższym stopniu olimpijskiego podium stanął Eduard Puutsep, triumfator najłżejszej wówczas wagi koguciej (58 kg) w zapasach w stylu klasycznym. Tym razem po medal srebrny sięgnął mistrz sprzed czterech lat Alfred Neuland, który startując o kategorię wyżej niż w Antwerpii (waga średnia, 75 kg) uzyskał wynik 455,0 kg, aż o 37,5 kg gorszy niż zwycięzca – Włoch Carlo Galimberti. Medale brązowe zdobyli dziesięcioboista Alexander Klumberg, ciężarowcy Johannes Kikas w wadze średniej i Harald Tumner w wadze ciężkiej oraz Roman Steinberg w zapasach w stylu klasycznym w wadze średniej (75 kg).

Kolejne letnie igrzyska olimpijskie, które w 1928 roku odbyły się w Amsterdamie na trwałe zapisały się w historii sportu polskiego, wówczas bowiem Halina Konopacka zdobyła pierwszy złoty medal olim-

pijski dla naszego kraju. Polacy z dorobkiem pięciu medali (1-1-3) zajęli jednak w klasyfikacji medalowej 21 pozycję, natomiast znacznie mniejsza Estonia, która do Holandii wysłała zaledwie 20-osobową ekipę uplasowała się na 16 pozycji zdobywając także 5 krążków, ale ze szlachetniejszego kruszcu (2-1-2). Tym razem złote medale dla Estonii wywalczyli zapaśnicy. W stylu klasycznym w wadze piórkowej (62 kg) zwyciężył Valdemar Vaali, zaś w stylu wolnym w wadze lekkiej (66 kg) najlepszy okazał się Osvald Kaap. Medal srebrny zdobył w wadze ciężkiej (82,5 kg) w podnoszeniu ciężarów Arnold Luhaar, natomiast medale brązowe przypadły pięściarzowi Albertowi Kusnetsowi (waga średnia, 75 kg) oraz estońskim żeglarzom w klasie „6”, którzy przegrali tylko z Norwegami i Duńczykami.

Cztery lata później na Igrzyska X Letniej Olimpiady do Los Angeles (1932) Estonia wysłała jedynie symboliczną dwuosobową ekipę, która wróciła z Oceanu bez medali, natomiast podczas XI Igrzysk Olimpijskich w Berlinie sportowcy estońscy święcili największy jak dotąd olimpijski sukces. Licząca 33 osoby ekipa wywalczyła 7 medali (2-2-3) w gronie 49 startujących państw plasując się na 14 pozycji. Dla porównania 111 osobowa reprezentacja Polski nie zdobyła ani jednego złotego medalu i z dorobkiem 6 krążków (0-3-3) została sklasyfikowana na 22 miejscu. Bohaterem estońskiej ekipy był bezsprzecznie zapaśnik Kristjan Palusalu, który w stolicy III Rzeszy dokonał wyczynu bez precedensu, jaki współcześnie, w dobie coraz większej i coraz węższej specjalizacji, wydaje się zupełnie niemożliwy. Palusalu zdobył bowiem dwa złote medale triumfując w wadze ciężkiej +87 kg zarówno w rywalizacji w stylu klasycznym, jak i w zmaganiach w stylu wolnym! Również dwa medale wywalczył inny zapaśnik August Neo w wadze ciężkiej do 87 kg drugi w rywalizacji wolniaków oraz trzeci w rywalizacji klasyków. Ponadto srebrny medal zdobył pięściarz Nikolai Stepulov (waga lekka; 67,24 kg), a medale brązowe przypadły sportowcom, którzy na olimpijskim podium stali już osiem lat wcześniej w Amsterdamie. Zapaśnik Valdemar Vaali, który wówczas był mistrzem w wadze piórkowej, tym razem musiał się zadowolić brązem startując o kategorię wyżej w



Andrus Veerpalu

wadze lekkiej (66 kg). Z kolei ciężarowiec wagi ciężkiej Arnold Luhaar, który wówczas był drugi, tym razem zajął trzecią lokatę mimo, że uzyskał rezultat o 40 kg lepszy niż w Holandii.

W okresie międzywojennym Estończycy należeli też do ścisłej czołówki europejskiej w koszykówce mężczyzn, co świadczy, że sukcesy odnosili również w grach zespołowych.

Osiągnięć estońskich sportowców byłoby zapewne znacznie więcej, ale na kolejne występy pod własną flagą musieli oni bardzo długo czekać. W 1939 roku na mocy układu Ribbentrop – Molotow Estonia znalazła się w strefie wpływów sowieckich, od czerwca 1940 roku była okupowana, a w sierpniu tegoż roku została włączona do ZSRR i aż do roku 1990 stanowiła jedną z republik Kraju Rad. Sportowcy estońscy do tegoż roku reprezentowali więc barwy ZSRR i dopiero po odzyskaniu niepodległości w roku 1991 ponownie mogli zdobywać laury dla własnego kraju.

Mimo, że zawsze Estończycy nieźle prezentowali się w dyscyplinach zimowych, podobnie jak w okresie międzywojennym tak i w ponownym olimpijskim debiucie podczas XVI ZIO w Albertville (1992) medali nie zdobyli. Dwa medale znalazły się natomiast w dorobku reprezentantów Estonii kilka miesięcy później podczas Igrzysk XXV Letniej Olimpiady w Barcelonie. W stolicy Katalonii na najwyższym stopniu podium stanęła wielokrotna medalistka mistrzostw świata Erika Salumae triumfatorka wyścigu w kolarskim sprincie kobiet na torze, a po brąz sięgnęła załoga żeglarska w klasie „470”, która uległa tylko załogom Hiszpanii i USA.

XVII ZIO w Lillehammer (1994), Igrzyska XXVI Letniej Olimpiady w Atlancie oraz XVIII ZIO w Nagano nie przyniosły Estończykom sukcesów, ale w ostatnich latach przedstawiciele tego niewielkiego kraju (powierzchnia 45 227 km kw., 1,45 mln. ludności) położonego w północno-zachodniej części Niziny Wschodnioeuropejskiej, graniczącego od północy z Zatoką Fińską, na wschodzie z Rosją, na południu z Łotwą i na zachodzie z Bałtykiem - coraz częściej z powodzeniem prezentują się na różnych sportowych arenach.

Z pewnością jednym ze sportowych bohaterów narodowych Estonii jest jeden z najlepszych dziesięcioboistów świata Erki Nool mistrz olimpijski z roku 2000 z Sydney, mistrz Europy, medalista mistrzostw świata.

Tak jak nigdyś Estończycy są bardzo groźni na matach. W Sydney potwierdzili to dobitnie judocy, bowiem brązowe medale olimpijskie zdobyli Aleksiej Budolin (81 kg) oraz Indrek Pertelson (+100 kg). Tradycje kolarskie kraju kontynuuje chociażby jeden z najszybszych zawodników zawodowego peletonu Janek Tombak, doskonale znany w naszym kraju z licznych etapowych zwycięstw w Tour de Pologne. Groźna nawet dla najlepszych bywa reprezentacja Estonii w koszykówce mężczyzn, o czym też już zdążyła przekonać się między innymi reprezentacja Polski. Koszykarzy z Estonii nie brakuje zresztą także w polskiej lidze, a za przykład niech posłuży Tarel Tein, z zespołem Idei Śląska Wrocław walczący o awans polskiego zespołu do fazy play off Euroligi.

Zasłużonym, coraz większym uznaniem wśród kierowców rajdowych cieszy się Markko Martin. Kierowca nr 1teamu

Forda-Focusa w minionym sezonie 2003 niemal do końca liczył się w rywalizacji o tytuł zajmując ostatecznie bardzo wysoką piątą pozycję. A mogło być znacznie lepiej, gdyby nie kłopoty z autem, które kilkakrotnie dotknęły Estończyka. Tak było chociażby w ubiegłorocznym Rajdzie Monte Carlo, którego Martin nie wygrał mimo, że jego łupem padła największa ilość odcinków specjalnych. I wcale się nie zdziwimy, jeśli w roku bieżącym Ford-Focus RS WSC 03 Martina jeszcze częściej będzie się okazywał najszybszy.

Prawdziwą potęgą stała się jednak Estonia w narciarstwie klasycznym. Andrus Veerpalu to wszak mistrz olimpijski sprzed dwóch lat z Salt Lake City w biegu mężczyzn na 15 km mężczyzn techniką klasyczną oraz srebrny medalista w biegu na 50 km mężczyzn techniką klasyczną. Veerpalu jest również mistrzem świata, a jego kolega Jaak Mae jest również medalistą MŚ oraz brązowym medalistą olimpijskim z Salt Lake City w biegu na 50 km mężczyzn stylem klasycznym.

Wielką gwiazdą kobiecych biegów narciarskich jest z kolei Kristina Smigun. Ona nie ma jeszcze w dorobku złotych medali najważniejszych imprez międzynarodowych, ale obecnie, po zakończeniu kariery przez słynną Norweżkę Bente Martinsen-Skari, to właśnie ona jest chyba najlepszą zawodniczką świata. Estonka jest obecnie liderką klasyfikacji generalnej Pucharu Świata w biegach narciarskich kobiet i w najbliższych latach będzie główną faworytką do triumfów w MŚ oraz w XX ZIO w Turynie (2006).

W biathlonie punkty Pucharu Świata zdobywa Indrek Tobreluts, czasami w Pucharze Świata punkty zdobywają nawet skoczkowie Jens Salumae i Jaan Juris, choć tej ostatniej dwójce dużo jeszcze brakuje do światowej czołówki, o klasie Adama Małysza nawet nie wspominając.

Nie można się jednak dziwić sukcesom, zwłaszcza estońskich biegaczy i biegaczek skoro mają do dyspozycji wspaniałe Otepaa, jeden z najlepszych ośrodków narciarstwa klasycznego na świecie, którego twórcą jest... ojciec Kristiny Smigun.

Ze sportowcami z Estonii trzeba się zatem liczyć. Estończycy to naród naprawdę sportowo utalentowany.

Kristina Smigun



Krzysztof MACIEJEWSKI
fot. archiwum

Język, nad którym słońce nie zachodzi

„Pegaz” rozmawia z prof. dr hab. Jackiem Fisiakiem, dyrektorem Instytutu Filologii Angielskiej Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu

Panie Profesorze. Na wstępie prosiłbym, aby zechciał Pan, w lapidarnym skrócie, dokończyć myśl: Język angielski jest...

...językiem międzynarodowym, poprzez swój zasięg zmierzającym do globalizacji.

Skąd ta dominacja angielskiego? Przecież bardzo długo status języka uniwersalnego dzierżył francuski, język salonów i dyplomacji. Kiedy francuski został zdezonizowany i jakie były przyczyny utraty jego prymatu?

Mówienie o detronizacji jest przesadą. Francuski pozostaje językiem żywym, w kontaktach międzynarodowych zastępowanym przez angielski stopniowo, w ciągu XX wieku. Jeśli zaś mowa o dyplomacji, to pierwszym ważnym dokumentem międzynarodowym, spisany już w dwóch językach – francuskim i angielskim – był traktat wersalski. Od tej pory angielski zaczął w relacjach międzynarodowych dominować. Przyczyna takiego stanu rzeczy nie jest trudna do objaśnienia. W dominacji angielskiego kryje się potęga ekonomiczna, techniczna i kulturalna. Aby uzyskać nieskrępowany dostęp do tych osiągnięć, trzeba było angielski opanować.

Czy fenomenowi języka angielskiego nie da się też wytłumaczyć i tym, że jest zwarty, a zarazem elastyczny, że opanować go łatwiej aniżeli inne języki obce?

Nie sięgałbym po takie tłumaczenia. Język może być prosty w jednym miejscu (np. w gramatyce) ale „nadrobić” to komplikacjami w innym (np. słownictwie). Nie ma czegoś takiego jak język prosty, czy skomplikowany z punktu widzenia rodzimego użytkownika danego języka. Dla cudzoziemca jeden język może być prostszy, a drugi skomplikowany

w odniesieniu do jego języka ojczystego. Język angielski jest niezwykle bogaty pod względem leksykalnym. Zawdzięcza to ogromnej ilości zapożyczeń. Swoją pozycję język angielski zawdzięcza pozycji politycznej, ekonomicznej, i poziomowi techniki i kultury

Te czynniki zadecydowały o jego uniwersalnej pozycji. Nasuwają się tu analogie do łaciny, która stała się – nie będąc językiem łatwym do opanowania dla użytkowników wielu języków europejskich – platformą sprawowania rządów najpierw przez imperium rzymskie, a następnie przez Kościół. Średniowieczny uniwersalizm był przecież oparty o łacinę jako uniwersalny wzornik ułatwiający rozumienie się i nawiązywanie kontaktów. Podobnie język angielski w epoce wiktoriańskiej wraz z imperium brytyjskim – nad którym w końcu XIX wieku słońce nie zachodziło – stał się decydującym czynnikiem spajającym bardzo różniące się między sobą części Korony. Po angielsku mówiła administracja, siły zbrojne, a obok nich także elity polityczne i kulturalne krajów zdominowanych. Można sparafrazować poprzednie twierdzenie mówiąc, że angielski stał się językiem, nad którym słońce nie zachodzi od 19 w.

Stwierdził Pan, że angielski jest językiem zmierzającym do globalizacji. Czy nie należy się obawiać, że dominując, zastąpi oryginalne wartości kulturowe innych państw?

Tego rodzaju obaw nie podzielam przynajmniej wobec języków o dużej tradycji kulturalnej. Doświadczenie uczy, że w takich przypadkach angielski nie eliminuje i nie zastępuje, a koegzystuje w szeregu państw z językiem narodowym. Jest drugim językiem, który nie wypiera pierwszego, lecz



rozszerza horyzonty i możliwości komunikacji osoby, która potrafi się nim posługiwać. Mit angielskiego jako destruktora rodzimej kultury propagują niektórzy politycy, mniej lub bardziej świadomie posługując się tym straszakiem w dążeniu do osiągnięcia partykularnych celów.

Językiem angielskim posługują się nie tylko Brytyjczycy, ale i Amerykanie. Istnieje pogląd, że amerykański angielski różni się znacznie od brytyjskiego, że są to tak naprawdę dwa różne języki...

Trudno się z tym zgodzić. Mimo pewnych różnic w wymowie, akcentowaniu, znaczeniu niektórych wyrazów, jest to jeden, wyrosły ze wspólnego prnia język. Brytyjczyk nie ma trudności aby zrozumieć Amerykanina i vice versa. Co więcej, Wielka Brytania poprzez nieustanny kontakt z wytworami amerykańskiego przemysłu rozrywkowego i rynku medialnego niejako na bieżąco wychwytuje wszystkie nowe wyrażenia. Jest to stały kontakt i nieustanny przepływ informacji.

Kiedy trzeba podjąć naukę angielskiego, aby opanować ten język w dostatecznym stopniu?

Zależy, jaki cel sobie wyznaczamy. Jeśli pragniemy naprawdę dobrze przyswoić sobie język, posługiwać się nim tak wprawnie, iż nawet Anglicy czy Amerykanie nie odgadną w nas cudzoziemca, to wówczas odpowiem, że naukę trzeba podjąć w wieku młodzieńczym. Później perfekcyjne opanowanie języka jest już niezmiernie trudne i wymagać musi wielkiego wysiłku. Dla większości spośród nas nie widzę jednak takiej potrzeby. Wystarczy opanować podstawy angielskiego tak, aby móc się nim swobodnie posługiwać. I tak właśnie – jako uniwersalne narzędzie komunikacji – powinniśmy ten język traktować.

Czy takie widzenie roli angielskiego wpływa na Pańskie widzenie roli Instytutu, którym Pan kieruje?

Jeśli brać pod uwagę cele strategiczne, to bodaj najważniejszym z nich jest wykształcenie odpowiedniej liczby nauczycieli języka angielskiego. To zresztą zadanie, które nie

zmienia się od roku 1966, to znaczy od chwili reaktywacji anglistyki w ramach Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza. Jeśli mówić o zmianach z biegiem lat, przede wszystkim zauważalny jest wzrost zainteresowania ze strony chętnych do podjęcia studiów. Po wznowieniu anglistyki zaczynaliśmy od trzech grup studenckich, obecnie prowadzimy ich od dziewięciu do dziesięciu. Pomimo to mogliśmy przyjąć 126 studentów, podczas gdy liczba ubiegających się o indeks zbliżała się do 800.

Ci, którym się nie powiodło będą musieli poczekać...

Niekoniecznie. Są uczelnie niepaństwowe, posiadające w programie licencjackie studia anglistyczne. Niektóre reprezentują wysoki poziom dydaktyczny. Widzę tu zresztą obszar współpracy pomiędzy uczelniami państwową i szkołami niepaństwowymi. Pracownicy naszego uniwersytetu, podejmując pracę na drugim etapie na studiach licencjackich, przygotowują młodych ludzi do kontynuowania studiów magisterskich na naszym uczelni.

Czy to jedyny obszar współpracy pomiędzy szkołą państwową i jej niepaństwowymi odpowiednikami?

Obszarów takich jest więcej. Podstawowy to – jak wspomniałem – szeroko pojmowana dydaktyka. Wobec rozwoju uczelni niepaństwowych i coraz wyższego poziomu, jaki sobą reprezentują, jest rzeczą oczywistą, że nasz uniwersytet opuszczać będzie coraz więcej osób z tytułem magistra, a także pewna liczba doktorów, która podejmie pracę na pierwszym etapie w uczelniach niepaństwowych. Jestem przekonany, że to właściwa droga, kierunek rokujący nadzieje na przyszłość. Ze swej strony uważamy za celowe rozszerzanie kontaktów z uczelniami niepaństwowymi, poprzez udostępnianie w pewien sposób biblioteki, pomoc w konstruowaniu programów dydaktycznych, a także wspólne organizowanie przedsięwzięć o charakterze dydaktycznym i naukowym. Niektóre uczelnie niepaństwowe już dziś dysponują odpowiednią bazą – także lokalową – aby takie przedsięwzięcia wspólnie realizować. Łączy nas wszak wspólnota celu – popularyzacji i ugruntowania języka, nad którym słońce nie zachodzi.

Życząc Panu i całemu Instytutowi dalszych sukcesów na tej drodze, dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę.

Rozmawiał: Tomasz DYMACZEWSKI

fol. M. Woźniak

Szkoła dobrych manier prof. dr. hab. Michała Iwaszkiewicza



O więzach, luzie i języku

Wystarczy zamknąć oczy

Podczas niedawnych obchodów czterdziestolecia Akademickiego Klubu Seniora spotkało się mnóstwo ludzi, którzy nie widzieli się 40 albo mniej lat. Odnowili dawne więzi, ale czy one naprawdę były zerwane?

Akademicki Klub Seniora jest swoistym, oryginalnym systemem odbudowywania i utrwalania przyjaźni. Jest grupa członków AKS-u, którzy nigdy nie stracili ze sobą łączności i uczestniczą corocznie w wielu wspólnych imprezach. Tam nie potrzeba odnawiać więzi, bo one są przez cały czas żywe. Natomiast przy okazji czterdziestolecia przybyło do Poznania wiele koleżanek i kolegów, którzy nie widzieli się kilkanaście, nawet i 40 lat. Powstają w tym przypadku często sytuacje zaskakujące, a czasami wręcz zabawne. W przeddzień spotkania AKS-u w trakcie oklaskiwania kabaretu „Nurt” podszedł do mnie kolega, którego daję słowo nie rozpoznałem i powiedział: – „Pewnie mnie nie poznajesz?” Dopiero wtedy, po głosie rozpoznałem moją koleżkę, którego ostatni raz widziałem 40 lat temu. Dziś jest on wziętym adwokatem w woj. świętokrzyskiem.

**Jak się zachować, gdy ktoś mówi:
– A tym mnie nie poznajesz?**

Nasza fizjonomia może się zmieniać. Lata odbierają pewne cechy zewnętrzne, ale timbre głosu, sposób poruszania się albo charakterystyczne zwroty są takimi elementami, które głęboko zapadają w pamięć. Wystarczy wtedy zamknąć oczy i już widzi się człowieka. Do tego kolegi, który zapytał – „nie poznajesz mnie” – odpowiedziałem: Boguś. Jak to! Rzeczywiście nie poznałbym Cię, gdyby nie twój głos.

Tym niemniej trzeba w tych sprawach zachowywać się w sposób mniej emocjo-

nalny. Musimy mieć świadomość, że ta osoba na pewno nas pamięta i na pewno nas kojarzyła i nie można okazać, że się jej naprawdę nie potrafi zidentyfikować. Trzeba w związku z tym w sposób bardzo delikatny i umiejętny uzyskać informacje i wtedy powiedzieć – Ależ tak! Rzeczywiście. Pamiętam cię świetnie! I wrócić do faktów, które nas łączyły. Bo przecież nie przynajmniej się do nas nikt, kto nas wcześniej nie znał.

Czy to ma związek z więzią?

Lata spędzone wspólnie w akademikach, stołówkach, klubach na imprezach to lata najpiękniejsze. Tkwią jako najbardziej kolorowe. Pamięta się wówczas te rzeczy najwspanialsze. Każde wspomnienie z tamtych lat i u nas i u osoby spotkanej jest kolorowe. Zatem ta więź to więź pokoleniowa i tylko trzeba ją we właściwym momencie odpowiednio wyrazić.

A jeśli zdarzy się, że spotykając kogoś mówimy – pani jest podobna do mojej koleżanki, do mojego kolegi. Co wtedy?

To sytuacja znacznie prostsza. Bo jeśli mówimy, że ktoś jest do kogoś podobny, to nie jest ani dla tej osoby obraźliwe, ani uwłaczające. Jest tylko potwierdzeniem, że przypomina nam kogoś innego, kto był dla nas bliski. Dlatego nie jest faux pas, gdy tak się do kogoś zwrócimy.

„Superfajna polszczyzna”

Czy ludziom w wieku dojrzałym wypada używać języka młodzieżowego? Wyraz „fajne” spowszedniał, ale ludzie dojrzały używają też ostatnio często słowa „super”.

Wszystko, co jest sztuczne powinno budzić wątpliwości. Zatem jeżeli ktoś

będąc w wieku dojrzałym robi z siebie młodzieńszka i próbuje posługiwać się młodzieżowym slangiem, zwłaszcza w gronie ludzi młodych, często jest bardzo żalosne. Jest to wtedy wyraźna poza, która niewiadomo czemu ma służyć. Czy jest to próba obrony mówiącego przed swoim wiekiem czy stwarzanie fałszywego, kumpłowskiego wizerunku wobec młodych ludzi, to w moim przekonaniu jest sytuacja niezręczna, a nawet nadużycie.

A gdy spotyka się grupa ludzi, którzy się znają ?

Zupełnie inna sytuacja jest wtedy, gdy spotykamy się w gronie przyjaciół i kolegów z czasów młodości. W trakcie tego spotkania używamy takiego języka, jaki wówczas był naszym językiem codziennym. Niedawne obchody czterdziestolecia Akademickiego Klubu Seniora były właśnie taką okazją. Choć tu wrócić do pierwszego dnia obchodów, do piątku gdy odbywał się spektakl teatryku „Nurt” i pojawili się bohaterowie z lat sześćdziesiątych powtarzając sceny i dowcipy z tamtych lat językiem, który wówczas wówczas był obecny. W efekcie w kuluarach po koncercie ten język wrócił. Znaleźliśmy się w tej samej epoce, w tym momencie i w takim układzie posługiwanie się tym naszym młodzieżowym slangiem było w pełni uzasadnione.

Ale wasz język może być niezrozumiały dla współczesnych. Natomiast do języka dzisiejszego weszło wiele zwrotów i określeń z języka młodzieżowego.

To zupełnie inna sprawa, na ile zmiany językowe podlegają modyfikacjom świadomym, a na ile nieświadomym, ile zwrotów naszego byłego prezydenta weszło na trwałe do naszego języka, a ile zwrotów z filmów weszło do języka naszej codzienności. Każdy język podlega takim zmianom. Z obyczajowego punktu widzenia nie ma w tym nic nagannego. Powinniśmy posługiwać się nie tylko nienaganną polszczyzną, bo to warunek sine qua non funkcjonowania w kręgach inteligentnych, ale powinniśmy mieć również pewną swobodę językową w przypadku kiedy jesteśmy w kręgu przyjaciół, czy w kręgach towarzyskich. Tam te neologizmy są do przyjęcia.

Protokół i luz

Skoro mówimy o slangu, o językowym luzie. Jaki procent luzu dopuszczalny jest na oficjalnych spotkaniach, na których obowiązuje protokół?

W ostatnim okresie w Poznaniu odbyło się wiele uroczystości mających wyjątkowy charakter. Były to jubileusze „Gazety Poznańskiej” i Akademickiego Klubu Seniora, otwarcie Ośrodka Telewizyjnego, ale także wiele zwyczajowych opłatków, czy wigilii, w zakładach pracy czy takich jak „Poznańska” w hotelu „Novotel Poznań Centrum”, albo ta Wielkopolskiego Klubu Kapitału. Odpowiedź czy należy na takich imprezach przestrzegać protokołu nie jest prosta.

Dlaczego?

Bo z jednej strony na takie imprezy przychodzi liczna grupa przedstawicieli różnych środowisk, osób publicznych, ale także przyjaciół i pracowników. Wszystko zależy od tego, jaką konwencję organizatorzy imprezy przyjmują. Na słynnej wigilii u Włodka Walkowiaka protokół połączony jest z luzem. Przyjmuje się konwencję podobną, jaką my przyjęliśmy w naszej Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych, gdy witamy tylko przyjaciół szkoły nikogo nie wymieniając z nazwiska. To jest możliwe na imprezie, która ma charakter półprywatny. Jeżeli jest to impreza oficjalna, wtedy niestety musimy trzymać się zasad protokołu i należy oczywiście w odpowiedniej kolejności powitać gości oficjalnych. Protokół to precyzyjnie określa. Trzeba też zabezpieczyć porządek organizacyjny, by osoby te znalazły swoje miejsce. Osobami tymi zajmują się pracownicy firmy i tak na ogół się praktykuje.

A gdy pojawia się nadmierny luz?

Oczywiście czasami pojawia się nadmierny luz, który może być dobrze odbierany przez współpracowników i przyjaciół, natomiast nie zawsze przez zaproszonych oficjeli. Znam to z własnego podwórka, że osoby zaproszone na naszą inaugurację jako przyjaciele szkoły poczuły się dotknięte, iż nie zostały powitane jako osoby oficjalne. Ale przecież nie w tej roli je zapraszaliśmy. Nasza inauguracja miała charakter naszej wewnętrznej szkolnej imprezy.

*Jeśli mają Państwo sugestie
do „Szkoły dobrych manier”
prosimy kierować je na adres:
zaradniak@poczta.gp.pl*

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK

Trudno oprzeć się Katarowi?

Sport współczesny zdecydowanie różni się od twego sprzed lat. Dziś, poza rekreacją, nie sposób już mówić o amatorstwie. Do uzyskiwania wartościowych wyników – i to nawet nie na najwyższym światowym poziomie – niezbędne stało się całkowite poświęcenie się intensywnemu treningowi. W cyklu przygotowań wykorzystuje się najnowsze osiągnięcia medycyny i techniki wprzęgając do niego całe sztaby ludzi, a za osiągnięte rezultaty płaci się zupełnie oficjalnie, często niewyobrażalnie dla przeciętnego człowieka pieniądze. Sami sportowcy poszukują zresztą dla siebie jak najlepszych warunków zarówno treningowych jak i finansowych, coraz częściej decydując się nawet na zmianę obywatelstwa. Zjawisko to mocno nasiliło się w ostatnich latach, jest to wręcz swoisty znak naszych czasów. Nierzadko różne państwa same występują z tego rodzaju propozycją wobec osiągniętych sukcesy sportowców, w przyznaniu im nowego obywatelstwa upatrując możliwość zwiększenia swego prestiżu na arenie międzynarodowej.

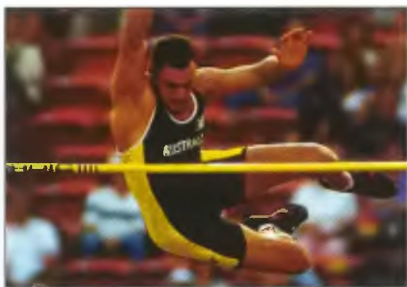
Fakt, że wybitni sportowcy zmieniają przynależność państwową nie jest bynajmniej niczym nowym, jednak dawniej dochodziło do tego znacznie rzadziej. Trudno to stwierdzić z całą pewnością, ale zgodnie z moją wiedzą jednym z pierwszych na tej liście jest argentyński piłkarz Monti, który podczas I MŚ w 1930 roku zdobył tytuł wicemistrzowski z reprezentacją Argentyny. W cztery lata później walenie przyczynił się do

wywalczenia tytułu mistrzowskiego przez reprezentację Włoch. Z kolei w pierwszej połowie lat 60-tych ubiegłego wieku wiele zyskała na sile piłkarska reprezentacja Hiszpanii, kiedy w jej barwach zaczęli występować tak wybitni zawodnicy jak Węgier Ferenc Puskas czy Argentyńczyk Alfredo di Stefano.

Przykładów znalazłoby się oczywiście więcej, ale tak na dobre, zdarzające się coraz częściej zmiany obywatelstwa przez sportowców rozpoczęły się z chwilą rozpadu ZSRR i – w znacznie mniejszym stopniu – Jugosławii, przy czym zjawisko to – rzecz jasna – nie dotyczy wyłącznie byłych obywateli tych krajów. Po prostu rozpad ZSRR zmienił diametralnie sytuację polityczną na świecie, poza tym państwa sukcesyjne byłego kolosa nie należą do najbogatszych. Tymczasem sportowcy pochodzący z rodzin rosyjskich, rozsiadanych po całym obszarze rozległego państwa, otrzymywali licencje kraju urodzenia, na przykład Kazachstanu czy Moldowy. A że dodatkowo zbiegło się to w czasie z liberalizacją przepisów przez różne federacje sportowe, zwiększył się „ruch migracyjny” w sporcie.



Stephena Cherono (Saaed Shaif Shahenn)



Dimitrij Markow

Dziś, jak wspomniałem, zjawisko to jest w sporcie coraz powszechniejsze, a dobitnie widać je na przykładzie królowej sportu – lekkoatletyki. Podczas ubiegłorocznych MŚ w Paryżu szczególnie głośny był przypadek świetnego biegacza kenijskiego Stephena Cherono, który w pięknym stylu zdobył złoty medal w biegu na 3000 m z przeszkodami dla barw... Kataru już jako Saaeed Shaif Shahenn. W tym biegu pokonał między innymi swego... brata nadal reprezentującego Kenię. Niczego nie mogły tu zmienić protesty kenijskiej federacji, choć sam zawodnik bynajmniej nie ukrywał, że zmienił obywatelstwo wyłącznie z przyczyn finansowych. Żeby poprzestać na kilku tylko przykładach podajmy, że etiopska biegaczka (specjalistka od 5000 metrów) Evlan Abeylegesse startowała w barwach Turcji, Rosjanin Dmitrij Markow od lat jest tyczkarzem australijskim, słynna sprinterka z Jamajki Marlene Ottey jest obecnie Słowenką, Nigeryjka Glorie Alozie (100 m.ppl) – Hiszpanką, a bohaterka ekipy francuskiej podczas MŚ, mistrzyni świata w skoku w dal i srebrna medalistka w siedmioboju Eunice Barber wcześniej reprezentowała Sierra Leone.

Podobny trend odnośnie zmian przynależności krajowej obserwujemy także w innych dyscyplinach. W efekcie z powodu oferowania nadzwyczaj atrakcyjnych warunków finansowych sportową potęgą z dnia na dzień staje się Katar. W barwach tego maleńkiego naftowego Emiratu startuje obecnie nie tylko wyżej wspomniany Saaeed Shaif Shaheen, kraj ten ma również świetnych ciężarowców rodem z Bułgarii (w tym mistrza świata) i jak tak dalej pójdzie wcale się nie zdziwimy, jeśli w końcowej klasyfikacji medalowej tegorocznych Igrzysk XXVIII Letniej Olimpiady w

Atenach Katar znajdzie się w czołowej dwudziestce.

Rzecz jasna nie wszystkie zmiany obywatelstwa mają podłoże wyłącznie finansowe. Nierzadko łączą się one z podłożem politycznym, jak to miało swego czasu miejsce w przypadku jednego z najwybitniejszych ciężarowców w historii Bułgarii Naima Suleimanowa (później w Bułgarii Nauma Szalamanowa), który odłączył się od ekipy w Australii, by przyjąć obywatelstwo tureckie i pod nazwiskiem Nahim Suleymanoglu z wielkimi sukcesami reprezentować ojczyznę swych przodków.

Z możliwości korzystania ze sportowców urodzonych w innych krajach, którym nadaje się polskie obywatelstwo korzysta również – choć w nie tak szerokim jak inni zakresie – Polska. Najbardziej chyba spektakularnym przykładem jest Emmanuel Olisadebe, Nigeryjczyk z polskim paszportem, który waleń przyczynił się do awansu piłkarskiej reprezentacji naszego kraju do finałów MŚ'2002 w Korei i Japonii.

Reprezentantami Polski w koszykówce są Amerykanie Joseph McNull, Eric Elliott i Lynn Lafton, a wśród złotych medalistek ubiegłorocznych zakończonych wspaniałym sukcesem Polek mistrzostw Europy w siatkówce znalazła się posiadająca od dwóch lat polskie obywatelstwo Ukrainka Maria Liktoras. Przykładów jest zresztą więcej. Brązowy medal olimpijski w Barcelonie zdobył dla naszego kraju w podnoszeniu ciężarów „importowany” Siergiusz Wołczaniecki, w tej samej dyscyplinie medale ME i MŚ zdobywa Andrzej Kozłowski. Kilka lat temu Mazurka Dąbrowskiego słuchał podczas MŚ w kajakarstwie Łotysz z polskim obywatelstwem Ivans Klementjevs, a obecnie jednym z najsilniejszych punktów ekipy kajakarzy jest Michał Śliwiński, między innymi dwukrotny mistrz świata w konkurencji C-2, Rosjanin o polskim rodowodzie, którego brat nadal reprezentuje Rosję. Aktualnym indywidualnym mistrzem Polski na żużlu (z 2003 roku) jest posiadający podwójne norweskie i polskie obywatelstwo Rune Holta, który jednak jako Polak jeździ tylko w Polsce, zaś na arenie międzynarodowej startuje jako Norweg (proponował występy w białoczerwonych plastronach, ale oferta na razie została odrzucona). Będziemy również mieli importowanego lekkoatletę, bowiem niedawno obywatelstwo



Eunice Barber

otrzymał 20 letni dziś, od 4 lat mieszkający w Polsce, Etiopczyk Jared Shegumo specjalizujący się w biegach na dystansach 800 oraz 1500 metrów. Na razie osiąga najlepsze w naszym kraju wyniki wśród juniorów....

Oczywiście nie wszystkim musi się prezentowany trend podobać, raczej jednak nie da się go już odwrócić. Moim zdaniem można by jednak nadać mu pewne sensowniejsze ramy. Na przykład takie jakie wprowadzono w piłce nożnej. Przez dłuższy czas w futbolu kto choćby raz wystąpił w reprezentacji jednego kraju w obojętnie jakiej kategorii wiekowej, nie mógł już reprezentować innego. Od kilku miesięcy przepis ten nieco złagodzano i obecnie granicę zaporowa stanowią co najmniej trzy występy, reguły są jednak klarowne. Mogli właściwie wnioski wyciągnąć z minionych doświadczeń działacze piłkarscy – mogą chyba i inni. Bo doprawdy jest coś dziwnego w fakcie, że w ciągu trzech lat sportowiec występuje w barwach trzech różnych krajów. A takie przypadki się zdarzają.

Wypada też wierzyć, że nawet dzisiaj są – i że nigdy takich nie zabraknie – sportowcy, dla których reprezentowanie barw narodowych, występ w koszulce reprezentacyjnej, pozostaną największym wyróżnieniem. Spośród polskich sportowców sprzed lat takim przykładem może być Stanisława Walasiewiczówna, która nawet mieszkając na stałe w USA nie zgodziła się bronić barw Stanów Zjednoczonych, a spośród obecnych, chociażby Robert Korzeniowski, który mógłby przecież z powodzeniem występować jako Francuz. Spośród

przedstawicieli innych krajów przykładem niech będzie znany także ze zwycięskich startów w Poznaniu mistrz świata z Paryża w biegu na 100 metrów Kim Collins (St Kitts & Nevis). Trenuje przecież na co dzień i większość czasu przebywa w USA, mógłby zatem startować w zawodach jako Amerykanin. Reprezentuje jednak swą małą ojczyznę i jak twierdzi dumny jest z faktu, że to dzięki jego paryskiemu triumfowi wielu ludzi na świecie dowiedziało się o istnieniu takiego, leżącego na Karaibach państwa.

A, że nie wszyscy tak postępują. Cóż, takie mamy czasy.

Krzysztof MACIEJEWSKI

for. www.bbc.co.uk



Marlene Ottey

Niezwykłe prezentacje Poznańskiej Galerii Nowej

Malarstwo profesorów Sienickiego i Zwierzchowskiego, pejzaż miejski Agnieszki Kozień oraz niezwykle fotografie Filipa Łepkowicza – to tylko niektóre z wystaw, jakie przygotowuje dla poznaniaków Poznańska Galeria Nowa w roku 2004.

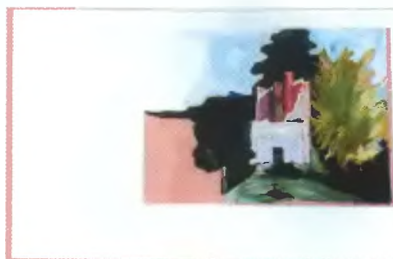
– Chcemy podtrzymać nasze dobre tradycje i nadal będziemy pokazywać to wszystko, co jest ciekawe i wartościowe, a w Poznaniu jeszcze nie było prezentowane – deklaruje właścicielka galerii, Katarzyna Braniecka.

Fotografie...

Serię niezwyklej prezentacji rozpocznie wystawa fotografii Filipa Łepkowicza, którą będzie można obejrzeć już w marcu. Przedstawiają one fragment Hakatii – mało znany i niedostępny dla zwykłych turystów skrawek Kraju Krasnojarskiego, części Syberii – i życie jednej z tamtejszych sekt prawosławnych.

– Bardzo rzadko prezentuję u siebie fotografię – wyjaśnia Katarzyna Braniecka. – Tak naprawdę to dopiero drugi raz podczas siedmiu lat działalności galerii. Ale te zdjęcia są tak malarskie, tak niezwykle, że nie można im się oprzeć i mnie one po prostu urzekły. Moim zdaniem mają one klimat zupełnie jak z filmów Tarkowskiego...

Najpierw Filip Łepkowicz pojechał tam na rekonesans – okazał się on tak owocny, że wrócił tam po kilku miesiącach ze sprzętem fotograficznym oraz filmowym i grupą przyjaciół, równie jak on zafascynowanych niedostępnymi zakątkami Rosji. Efektem tej wyprawy jest seria pięknych dwudziestu zdjęć, dokumentujących życie tego zakątka Rosji i jednocześnie będących odniesieniem do historii i tradycji rosyjskiej sztuki. Perfekcyjnie oddany urok tamtejszych przestrzeni i niezwykle światło doskonale oddają ducha tej surowej krainy i mieszkających tam ludzi.



Andrzej Zwierzchowski, *Ruina*, 1989

...obrazy przyjaciół...

Kolejnym artystycznym wydarzeniem będzie wspólna wystawa prac profesorów Jacka Sienickiego i Andrzeja Zwierzchowskiego – mistrza i ucznia, który sam jest już mistrzem. Ich malarstwo ma niewiele cech wspólnych i nie o wykazanie podobieństw czy zależności wynikających z relacji mistrz – uczeń tu chodzi. – Obaj bardzo się przyjaźnili i to jest bezpośrednim powodem powstania tej wystawy – wyjaśnia Katarzyna Braniecka... – Poza tym profesor Zwierzchowski nigdy swojej wystawy w Poznaniu nie miał, a jest laureatem wielu nagród i ma na swoim koncie wiele wystaw, między innymi w warszawskiej "Zachęcie". To wspinały malarz z klasą i naprawdę wart pokazania tutaj.



Andrzej Zwierzchowski, *Uczyć się uczyć*, olej na płótnie

Andrzej Zwierzchowski wykłada na warszawskiej ASP rysunek i malarstwo. Jego malarstwo jest bardzo oszczędne, ale jednocześnie niezwykle pełne nasyconych barw, co łagodzi początkowe wrażenie surowości jego prac. Malowane przez niego fragmenty bram, ściany czy okna pracowni są naprawdę piękne, a szczególnie w nich zachwyca to, że artyście udało się to osiągnąć stosując tak oszczędne środki... A ponieważ jest uczniem profesora Sienickiego, który z kolei był uczniem Artura Nachta – Samborskiego, to wpływ koloryzmu daje się w nich wyraźnie zauważyć. Szczególnie fascynujące w jego obrazach jest to pokrewieństwo z kapizmem, ale w tej nieoczekiwanej, zaskakującej i wyjątkowo pięknej formie. Wspaniale uzupełnia tę prezentację niewielka kolekcja obrazów profesora Sienickiego – niewielka, bo ten autor będzie miał wkrótce w stolicy Wielkopolski swoją monograficzną wystawę.

...i pejzaż miejski

Skoro pejzaż miejski – to z pewnością Agnieszka Kozień, znakomita krakowska malarka, uczennica profesora Janiaka, której prace z serii „Radżastan” były już prezentowane w Galerii Nowej dwa lata temu i zachwyciły zwiedzających swoją naprawdę wspaniałą i oryginalną kolorystyką. Tym razem będzie to 16 obrazów poświęconych miastom, równie interesujących i równie zaskakujących widza tak kolorem, jak sposobem widzenia aglomeracji miejskiej.

Jej prace mają w sobie coś fascynującego, być może jest to ta niezwykła charyzma, którą odznacza się sama autorka. Ale kiedy zobaczy się je raz – nie można ich zapomnieć, a to z pewnością nie o każdym obrazie można powiedzieć...

Lilia ŁADA
fot. Galeria Nowa

Zdwojona hipnoza

W dzisiejszej dobie powieść rzadko stroi się w szaty mistycyzmu czy też symbolizmu. Wprawdzie życie stało się zbyt odrażające, aby prezentować jego nagość, mało kto jednak zwraca na to uwagę. Co więcej, moda na ekshibicjonizm ciała i duszy ogarnęła niemal całą literaturę światową - od Wołgi po szczyty Andów. W takich czasach - gdy to co odrażające, brudne czy złe zyskuje sobie tym silniejszy tytuł do prezentacji, „Hipnotyzer” Lecha Majewskiego przywraca wiarę w tajemnicę i urok symbolizmu. Wszystko albowiem co dzieje się w relacjach pomiędzy bohaterami opowieści i hipnotyzującym ich tajemniczym mężczyzną przyobleczone jest w zagadkowy, mroczny i obfitujący w rozliczne symbole klimat.

Sama Wenecja, miasto żyjące w cieniu przeszłości, umierające wraz ze swoją historią, wydaje się najbardziej odpowiednim miejscem dla dokonywania się tajemniczego misterium, którego uczestnicy spełniają zarazem funkcję nauczycieli, uczestników debaty, wdzięcznych słuchaczy, wreszcie coraz silniej ze sobą zespolonych uczniów. Tajemnicza siła, jaka nimi włada, nakazuje oddawać to co najlepsze z ich niepospolitych zdolności swoim współtowarzyszom. Czy są więźniami? I tak i nie, z całą pewnością jednak wywierają na nich wpływ tajemnicza, wszechobecna siła, zogniskowana w oczach nieznajomego. Zatracają się w niej, spełniając jednocześnie praktyki, które od dzieciństwa stanowią mroczne dno ich świadomości.

Wybitny astronom amerykański, Eliot Ems, jest narratorem tej opowieści. Jako jedynek ocknął się z hipnotycznego stanu i jako jedynek złamał też pieczęć milczenia, którą zespolił uwieczonych w tajemniczym pałacu nieznajomy. Przypadkiem rozbudzony przez nieumiejętnego hipnotyzera, Ems pod przemożnym nakazem nieznanej sobie siły powrócił do Wenecji, ku swemu przeznaczeniu. Spisał tam całą opowieść, posiłkując się często przyswojoną jeszcze w dzieciństwie metodą lustrzanego pisma. Dodaje to „Hipnotyzerowi” swoistej charakterystyki opowieści tajemniczej, nie z tego świata rodem. Przed swoim zniknięciem po raz drugi, Ems pozostawia rękopis w

hotelu. Po czym rozplywa się bez śladu. Być może pochłonęło go ostatecznie opuszczone palazzo, w którym przeżył tyle niespokojnych dni i nocy...

Majewskiemu udało się stworzyć rzecz nie tylko atrakcyjną w lekturze. Tajemniczy, mistyczny wręcz klimat książki omal każe uwierzyć, że wszystko co tu przedstawiono, wydarzyło się naprawdę. Autor nie ucieka całkowicie od swoich czasów; odnajdujemy w „Hipnotyzerze” sceny i sytuacje brutalne, zachowania z gatunku nagiego instynktu, głębokie erotyczne podteksty. Seks atoli jest tu symboliczny, a jego przewodnim motywem staje się niespełnienie lokatorów tajemniczego pałacu. Podobnie jak w ich codziennej egzystencji, przed wezwaniem hipnotyzera, mroczne instynkty i zakazane pragnienia drzemają w ich wnętrzach głęboko uśpione, wyglądając na zewnątrz z rzadką, w chwilach najmniej oczekiwanych.

Rozstawałem się z „Hipnotyzerem”, którego - pomimo wielu nasyconych naukowymi twierdzeniami partii - trudno nie pochłonąć od razu, sam zahipnotyzowany tajemną siłą tej precyzyjnie skonstruowanej, a zarazem skażonej piętnem rozpadu i dekadencji książki. Więcej powiedziano tu o współczesnym społeczeństwie i cywilizacji niż w niejednym, specjalnie temu poświęconym traktacie.

Tę książkę trzeba i warto koniecznie przeczytać. Ma jeszcze jedną ogromną zaletę - moc starodawnego wdzięku którego dziś się już nie spotyka.

Tomasz DYMACEWSKI

Lech Majewski, Hipnotyzer, Dom Wydawniczy REBIS, Sp. z o.o., Poznań 2003



40-lecie Akademickiego Klubu Seniora

Seniorzy pozytywnie zakręceni



Młodość to czas, w którym zawiązują się przyjaźnie. Był czas gdy działając w Zrzeszeniu Studentów Polskich nie można było drugi raz pełnić tej samej funkcji. Gdy 40 lat temu grupa żaków z poznańskich uczelni przestawała być studentami nie chcieli się rozstawać. Pod wodzą Kazimierza Wolnikowskiego postanowili stworzyć Akademicki Klub Seniora. Przez cały czas pozostali grupą przyjaciół organizujących wspólne wyprawy do teatrów, na koncerty czy wspólne wycieczki. Mówią, że są ludźmi pozytywnie zakręconymi.

Z grzybem w herbie

Dokładnie nie wiadomo kiedy powstał AKS. Na jego logo, którym jest grzyb widnieje rok 1963.

Przez wiele lat byli grupą nieformalną. Dopiero pięć lat temu zarejestrowali się

jako stowarzyszenie. Przez AKS przewinęło się około 1000 osób. Do dziś pozostało aktywnych około 300. Jest wśród nich około 70 profesorów. Są inżynierowie, lekarze, artyści. Dwóch członków AKS-u Andrzej Wituski i Wojciech Szczepny Kaczmarek było prezydentami Poznania. Jeden Włodzimierz Łęcki był wojewodą, a dziś jest senatorem RP. Zresztą i drugi senator RP z Poznania prof. Jerzy Smorawiński jest także członkiem AKS-u. Wreszcie wśród AKS-owców jest rektor Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych prof. dr hab. Michał Iwaszkiewicz.

Członkowie AKS-u przyczynili się m.in. do zbudowania krypty na Cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan na Wzgórzu Św. Wojciecha, oraz ufundowali witraż w tamtejszym kościele. Wreszcie z ich inicjatywy odsłonięto pierwszy w XXI wieku pomnik na świecie – Pomnik Grzyba w Łężeczkach koło Chrzypiska Wielkiego.

„Kierunek piosenka”

Obchody jubileuszu 40-lecia trwały w Poznaniu dwa dni. Działo się to w piątek i w sobotę 6 i 7 lutego. Najpierw piątkowego wieczoru w pawilonie 11 Międzynarodowych Targów Poznańskich dokładnie o 19.03 rozpoczął się koncert gwiazd, które wyszły z ówczesnego ruchu studenckiego, a konkretnie z prężnego wtedy klubu i teatryku studenckiego „Nurt” zatytułowany „Wspominamy lata 60. minionego wieku.”. Pojawiła się m.in. zwyciężczyni II Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studentów w Krakowie w roku 1963 Bogdana Zagórska, dziś praktykujący prawnik. Śpiewała Anna Kareńska będąca dziś także właścicielką galerii. Słuchaliśmy Zygryda Klausa niegdyś jednego z filarów „Nurtu”, a dziś praktykującego psychologa. Autorami scenariusza i prowadzącymi byli Edmund Dudziński i prof. Wacław Strykowski. Ten ostatni był kierownikiem Studenckiego Teatru „Nurt” w latach 1963-67. Dziś kieruje Zakładem Technologii Kształcenia na Wydziale Studiów Edukacyjnych UAM.

Tamte czasy wspomina tak – Klub „Nurt” był miejscem gdzie mogliśmy realizować teatr o tej samej nazwie, który istniał przez 20 lat. Na początku działał tam zespół „Estrada Winogrody”. Przez trzy lata przygotowywał „Podwieczorki przy małej czarnej”. W roku 1963 przemianowaliśmy nazwę i powstał Studencki Teatr „Nurt”. Hasło wiódące brzmiało – „kierunek piosenka”. Przygotowywaliśmy znanych później piosenkarzy, talenty, które wylądował festiwal w Krakowie. Pierwszy wygrali Ewa Demarczyk i Edward Lubaszenko, ale następne należały do nas. W 1963 roku wygrała Bogdana Zagórska. W 1964 wygrała Zdzisława Sośnicka, a nagrodę specjalną Polskiego Radia zdobył Zygryd Klaus. W 1965 roku II miejsce zdobyła Mirosława Kowalak, a III Urszula Sipińska. Mówiło się, że „nurtowcy” podbijają Kraków.

Bogdana Zagórska tak mówi o „Nurtowych latach” – Tamte lata, co jakiś czas wracają. Dwudziestopięciolecie, trzydziestolecie... I może jeszcze kiedyś. Z piosenką rozstałam się dawno. Ukończyłam prawo i pracuję w swoim zawodzie w Głównym Inspektoracie Pracy w Warszawie. Klub „Nurt” był dla mnie oknem na świat. Tam były moje korzenie piosenkarckie. Z „Nurtu” pojechałam do Krakowa gdzie wygrałam w 1963 roku Festiwal Piosenki i Piosenkarzy Studentów. Gdy pio-

senkarstwem zajęłam się zawodowo drogi moje i „Nurtu” rozeszły się. Ale zawsze z miłością wspominam tamte czasy...

Podczas koncertu w hali „Pod iglicą” Bogdana Zagórska śpiewała dwie piosenki. Jedna to „Jestem taka mała” Hanki Ordonówny. Ją kiedyś zawsze śpiewała. Druga piosenka to „Konik na biegunach”. Co ciekawe właśnie Zagórska była jej pierwszą interpretatorką. _ Ta piosenka trafiła z Krakowa na „Wczasowisko piosenkarckie” do Świnoujścia, w którym uczestniczyłam przed pierwszym rokiem studiów. Potem piosenka zniknęła i reaktywowała ją Urszula – wspomina artystka.

Nazajutrz po koncercie w Kościele Św. Wojciecha odprawiona została msza święta za tych, których już nie ma... A nie ma już tak znaczących postaci niegdyśszego poznańskiego ruchu studenckiego jak reżyser Janusz Nyczak, animatorzy kultury Zdzisław Dworzecki i Adam Kaczmarek czy rektor Politechniki Poznańskiej prof. Eugeniusz Mitkowski.

To więcej niż album

Z okazji jubileuszu wydano bogato ilustrowany album prezentujący działalność ZSP, AKS-u i sylwetki jego członków. Wydawnictwo przygotowane według koncepcji prof. Tadeusza Piskorskiego jest rzeczą niezwykłą. Zawiera bowiem nie tylko zdjęcia, ale także sporo opisów ówczesnych wydarzeń dziejących się za sprawą studenckiej braci. Niemal w przypadku każdego z członków Klubu opracowano ich krótkie biogramy. Dzięki czemu łatwo sprawdzić kto jest kim dzisiaj. I aby w pełni oddać atmosferę tamtych czasów to best-sellerowe wydawnictwo posiada stosowny stempel Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk. Dodajmy, że album ukazał się dzięki życzliwości wielu osób i instytucji, a wśród nich Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych.

Eksperyment z kolorowych lat

Z okazji jubileuszu ukazała się także przygotowana pod redakcją prof. Wacława Strykowskiego monografia klubu „Nurt”. O eksperymencie z kolorowych jakim było redagowanie kolumny studenckiej w „Gazecie Poznańskiej” pisze tam rektor WSUS prof. Michał Iwaszkiewicz.

Przełom lat 50. i 60 był wyjątkowy dla wszystkich ośrodków akademickich, a zwłaszcza dla dużych. Odwilż popaździernikowa zafunkcjonowała pełną swobodą. Wydawało nam się, że także pełną niezależnością zwłaszcza w działalności kulturalnej. Przejawiło się to w sposób niezwykle ekspansywny w klubach studenckich. Powstawały teatry i kabarety jak gdański „Bim Bom” czy warszawskie „STS” albo „Hybrydy”. To były miejsca, z których wychodzili najwybitniejsi – jak się później okazało – autorzy kabaretów i tekstów, piosenek i piosenkarze.

Piwa łyk i dyskusje po świt

W Poznaniu nie było inaczej. Taką wylegarnią był „Nurt” powstały na bazie tych potrzeb i zmian. Zdzisława Sośnicka, Bogdana Zagórska czy śpiewający psycholog Zygfryd Klaus byli naszymi koleżankami i kolegami. Widzieliśmy ich wzrost i rozwój. Kluby studenckie miały zupełnie inny klimat niż dziś. Dyskutowało się, bardzo często kłóciło. Oczywiście pło się piwo. Nie tylko „Ratuszowe”. Ale naprawdę tylko piwo. Nie było mocnych alkoholi. Nie było mowy o żadnych prochach, a zabawa była do białego rana. Obok działalców teatru „Nurt” działał jeden z najprężniejszych wtedy klubów filmowych. Pamiętam jak wzruszałem się oglądając z moją żoną amerykańską wersję „Wojny i Pokoju” Plakaliśmy...

„Gazeta Poznańska” pomogła

Te wydarzenia kulturalne przenosiły się na obszar tego, co już wówczas miało swoją wartość medialną. Chcieliśmy zaistnieć w mediach. Spotkało się to najpierw z pewnym oporem, bo takiej tradycji w poznańskiej prasie nie było. Ale w połowie lat 60. znalazł się dziennikarz, który uznał, że można studentów dopuścić do poważnej gazety. Był nim późniejszy redaktor naczelny „Gazety Poznańskiej”, a wówczas szef „Magazynu” Leonard Wąchalcki. Były to lata 1962/63.

Pasjonaci i przyjaciele

Leonard Wąchalcki zgodził się na eksperyment pod nazwą „Kolumna studencka”. To nie lobbying?

Jak już wspominałem ludzie związani z Akademickim Klubem Seniora mocno pod-

kreślają, że jest on wyłącznie grupą towarzyską, ludzi, którzy chcą się spotykać, razem chodzić na koncerty, jeździć na grzyby, albo uczestniczyć w słynnych balach seniora. AKS nie jest też żadną grupą lobbingsową. Ale może właśnie dzięki więzom koleżeńskim, ludziom AKS-u udało się wiele zrobić dla Poznania i dla Wielkopolski.

Gdy rastał czas „Solidarności” wśród jej liderów znaleźli się m.in. prawnik i socjolog prof. Paweł Łączkowski (wicepremier w rządzie Hanny Suchockiej) czy prof. Stanisław Sołtyński także prawnik. Znaczącą rolę odegrał Jerzy Kaszkowiak, absolwent Politechniki, w momencie stanu wojennego internowany w Gębarzewie. Z AKS-em związani są też wspomniani już dwaj byli prezydenci Poznania. Jeden to Andrzej Wituski - dziś prezes Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego, drugi to Wojciech Szczepny Kaczmarek, długoletni konsul RP w Paryżu, a dziś ekspert banku PKO BP. Z AKS-em związany jest też O. Tomasz Alexiewicz niegdyś działający w klubie „Cicibór”, a dziś znany nie tylko w Poznaniu dominikanin. Wreszcie AKS to takie postaci jak Agnieszka Duczmal, Grażyna Kulczyk, Zbigniew Górny czy rektor Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych prof. Michał Iwaszkiewicz. Z AKS-em związany był też nieżyjący już redaktor naczelny „Gazety Poznańskiej” Ryszard Chomicz.

Ukończyli dwa uniwersytety

Na będące kulminacyjnym punktem zjazdu spotkanie w Akademii Ekonomicznej zjechało kilkaset osób z kraju i zagranicy. Witając gości Andrzej Wituski stwierdził, że AKS powstał samorzutnie. Zgrupował ludzi wszechstronnych, przyjaźnie nastawionych do świata i bezinteresownych. Dziś są seniorami rozumem, a młodzieńcami gorącym sercem. Tablice wskazywały, kiedy kto ukończył studia. Po prawej stronie Andrzeja Wituskiego siedział sternik AKS Jacek Andrzej Kowalski, po lewej prezes honorowy, człowiek, który przeszedł wszystkie szczeble w Zrzeszeniu i co nie-które teatry Zbigniew Jaśkiewicz.

Wśród gości obecni byli ulubieni, zyczliwi ZSP profesorowie. Zabrakło niestety wśród nich prof. Wacława Wilczyński, dzięki któremu Andrzej Wituski stał się ekonomistą. Do dziś pamięta temat egzaminu wstępnego, jaki u niego zdawał „Rola Nowej Huty w gospodarce socjalistycznej”. Zabrakło też prof. Stefana Stuli-



grosza. Byli obecni natomiast prof. Czesław Królikowski, prof. Gerard Labuda, prof. Ewaryst Pawelczyk czy też trzykrotny rektor Wyższej Szkoły Rolniczej prof. Wincenty Pezacki. Był były rektor UAM prof. Benon Miśkiewicz. Nie zabrakło byłego rektora Politechniki Poznańskiej prof. Bolesława Wojciechowicza.

Prof. Tadeusz Piskorski z Akademii Sztuk Pięknych wspominał, że w akademiku mieszkał ze studentami Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Gdy wprowadził się ze swymi obrazami ci oniemieli pytając – Stary ty to sam namalowałeś ?

Jedni mówili „na żywo”, inni z telebimu. Właśnie dzięki elektronice można było usłyszeć niegdyś szefa RO ZSP, a przez wiele lat animatora kultury Alojzego Andrzeja Łuczaka. Członków AKS-u nazwał on ludźmi, którzy ukończyli dwa uniwersytety – własną uczelnię i ten związany z ruchem studenckim. Pozdrowił uczestników zgromadzenia. Wspominał, że aula AE była miejscem bali, zebrań i wykładów. Mówił o wiekopomnym znaczeniu AKS-u. Porównał go do Imperium Rzymskiego, którego wielowiekowe przewodzenie kulturze śródziemnomorskiej było uzależnione od wesołości i pogody ducha mieszkańców, od umiejętności wypoczynku. Gdyby nie wyrzesana lekkość i igrzyskowość, wyrafinowane sposoby aprowizacji i balowania kultura rzymska nie była by w stanie przetrwać jako etap rozwoju i ludzkość zastygłaby w ponuractwie. AKS to był dobry pomysł. Ale jest jeszcze wiele dziedzin, w których smutactwo króluje bez reszty. Znając wasze możliwości bądźcie przewodnikiem po nowej polskiej kulturze śmiechu, rozrywki i wypoczynku. Niech to właśnie będzie wkładem do nowej europejskiej kultury. Nie jest, bowiem to spotkanie klubu Pikwicka, ale jeden z sied-

miu cudów współczesnej Polski. To ruch, mądrych ludzi znających się na rzeczy. Tworzą oni podstawy bytu społeczeństwa. Senator Włodzimierz Łęcki wspominał liczne rajdy studenckie jakie się za jego żakowskich lat odbywały i jak w tej dziedzinie uczelnie rywalizowały. Na koniec Jan Japas Szumański, długoletni publicysta „Gazety Poznańskiej” w Pile, a dziś związany z Telewizją Kablową „Pilsat” oznajmił, że postanowiono powołać komitet przygotowawczy obchodów 50-lecia AKS-u. Spotkanie ubogacił wspaniałą muzyką chór „Musica Viva” kierowany przez Marka Gandeckiego. W jego interpretacji zabrzmiała nie tylko będąca przebojem lat 60. piosenka „Niech no tylko zakwitną jabłonie”, ale także dostojne „Gaudeamus”.

Szabla i „Złoty grzyb”

W uznaniu zasług pomysłodawca AKS-u i jego pierwszy prezes, absolwent WSE Kazimierz Wolnikowski otrzymał jedyne klubowe wyróżnienie „Złotego grzyba”. Natomiast aktualnego prezesa Andrzeja Jacka Kowalskiego uhonorowano ułańską szablą.

Gdy oficjalna część spotkania dobiegła końca w holu AE urządzono hyde park i każdy wchodząc na zainstalowane podwyższenie mógł powiedzieć to co chciał. Szybko jednak trzeba było wyjść przed budynek do zbiorowego zdjęcia. Aby je zrobić na kilka minut wstrzymano ruch na Al. Niepodległości. Wieczorem przy dźwiękach zespołu „Dixi Company” oraz na dyskotecę prowadzonej przez Alfreda Aciu Zakrzewskiego bawiono się na „Balu seniora” w hotelu „Novotel Poznań Centrum”. Aby tradycji stało się zadość zaśpiewali „Hymn krasnali” z „Królowny Śnieżki” Walta Disney’a.



Art. T. Bujoch

Jesteśmy grupą przyjaciół – rozmowa z Andrzejem Jackiem Kowalskim – prezesem Akademickiego Klubu Seniora

AKS ma 40 lat. Skąd wziął się pomysł jego założenia. Czy chodziło o przedłużenie sobie młodości?

W pewnym sensie tak. Ludzie, którzy byli związani ze starym Zrzeszeniem Studentów Polskich byli poddani pewnej rotacji. Po 3 latach pełnienia funkcji po raz drugi nie można

było tego robić. Gdy kończyło się studia, wszystko się kończyło. Dlatego stwierdziliśmy, że chcemy mieć kontakt z tą organizacją i założyliśmy stowarzyszenie, klub, które by był przy Radzie Okręgowej ZSP. Chcieliśmy służyć pomocą i radą młodym, gniewnym, którzy przychodzili po nas.

Czy tak się rzeczywiście stało?

Gdy pokazywaliśmy się w Radzie młodzi nie chcieli od nas żadnych rad. Byli zawsze zadowoleni, gdy za sobą zamykaliśmy drzwi. Postanowiliśmy spotykać się dalej nie, aby pomagać, ale w celach towarzyskich. Bynajmniej nie politycznych. Jesteśmy po prostu grupą przyjaciół.

Ale łączy się was ze Stowarzyszeniem „Ordynacka”. Wiele nazwisk się powtarza...

Nazwiska się powtarzają. Trzon osób należących do „Ordynackiej” to Zrzeszenie Studentów Polskich, ale nie z naszego pokolenia. Są to koledzy, którzy należeli do ZSP w ostatniej jego fazie, a potem działali w SZSP. Programy tych organizacji są zupełnie nieporównywalne. ZSP z lat 60. i dzisiejsze zupełnie do siebie nie pasują.

Czy oprócz grupy przyjaciół jesteście grupą lobbingową?

Jeżeli na dwóch czy trzech eksponowanych stanowiskach w mieście pojawiają się ludzie, którzy mówią, że są członkami AKS-u to mówi się, że jest to lobbing AKS. Ale my politycznie nie udzielamy się nigdzie. Nasze ZSP było ZSP romantycznym, nie politycznym, otwartym dla każdej opcji. Były kluby. Robiliśmy coś dla siebie nie mając większych szans aktywności. Dzisiaj wyjazd za granicę nie stanowi problemu. Wtedy do nocy trwały debaty, kto ma pojechać na wycieczkę do Paryża. Ja jestem członkiem „Ordynackiej”. Gdy powstawały struktury „Ordynackiej” inicjatorzy chcieli abyśmy jako AKS weszli w nie. Gdy powstawał poznański oddział „Ordynackiej” posłaliśmy z myślą, żeby się włączyć, ale nasi młodszy koledzy byli bardziej mobilni i oni nadają ton. Oprócz mnie jeszcze około 20 osób z AKS-u należy do „Ordynackiej”.

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK

A jak AKS wspominają jego członkowie?

Nagroda była satysfakcja

Wojciech Szczepny Kaczmarek, były Prezydent Poznania, dziś doradca Banku PKO BP S.A.

Pojawienie się Klubu trafiło w zapotrzebowanie, które w ludziach tkwi zawsze – utrzymanie kontaktu z czasami młodości, czasami ideałów, z ludźmi, z którymi się coś ciekawego i wartościowego przeżyło. By ideę takiego klubu urzeczywistnić potrzebny jest ktoś, kto potrafi dać sygnał i nadać mu kształt. Ktoś, kto by się temu chciał poświęcić, leader. Jeśli takiego nie ma, żadne gadanie nie pomoże.

W Klubie pozostało coś ze starego ZSP. Zasadniczą jego cechą była chyba bezinteresowność. W czasach ZSP człowiek za swoją pracę nie oczekiwał niczego, żadnej nagrody, gratyfikacji, zaszczytów. Nagrodą była satysfakcja. Nic więcej. Poczucie, że ktoś wspólnie z Tobą przeżywa podobną satysfakcję. Z ZSP wynieśliśmy bezinteresowność.

ZSP to była niezła szkoła działania, ale w życiu niekoniecznie praktyczna. Życie okazało się bogatsze, ale i ... bardziej gorzkie.

To prawie opozycja

Prof. Paweł Łączkowski – prawnik i socjolog, wicepremier w rządzie Hanny Suchockiej

W pewnym okresie ZSP było - jak na ówczesne standardy, organizacją wręcz opozycyjną, co ujawniło się na przykład w konflikcie organizacyjnym i personalnym z ZMS. Formy demokracji były na tyle silne, że organizacja była stosunkowo bardzo autonomiczna. Przy tym dochodziło czasem do paradoksalnych efektów: Leon N., ex-bokser, szedł do grup I roku i mówił: A teraz idziemy głosować. W efekcie jednak dość żywiołowej akcji wyborczej potrafilo przepaść wartościowi ludzie.

Było przykre, kiedy sugerowano nam wyraźnie, że przewodniczącym Rady powinien być członek PZPR. Na tej zasadzie wybrano Zdzicha S., który jednak okazał się porządnym człowiekiem. Potem jednak do głosu coraz bardziej dochodziło tandeciarstwo. Pod koniec lat 60-tych w ZSP, podobnie jak i w harcerstwie, odgórna dyrygentura partii była już nieznosna. Już w połowie tej dekady władze pilnie interesowały się, co się dzieje wśród młodzieży, w tym także robotniczej. Obawiano się jakichś dewiacji i nieoczekiwanych sytuacji.

Marcowe owoce

Prof. Michał KAROŃSKI - matematyk, wykładowca UAM

Marzec 1968 był największym przeżyciem mojego okresu w ZSP. Wiece studenckie, hasła przeniesione z Warszawy. Prowadziłem wiece w „Jagience”, z rozemocjonowanymi dziewczynami. (Później te najbardziej aktywne trafiły do ZSP). Ale te najważniejsze wiece, najbardziej burzliwe, odbywały się w Hance (DS im. Hanki Sawickiej). Był to okres niezwyklej nerwowości, emocji, niekończących się dyskusji. Dopadła nas, którzy byliśmy jak niewinne dzieci, polityka, z całą swoją brutalnością, grozą, chamską siłą. Stalaliśmy się być razem ze studentami, podejmować wspólnie, akceptowane przez wszystkich żądania i postulaty. Na wiecach formułowane były petycje, w sprawach wolności, wolności prasy, które na drugi dzień zanosiliśmy władzom rektorskim. Zwykle szedł ktoś z ZSP i jakieś najaktywniejsze osoby z sali.

Nie rozumieliśmy wiele z tej polityki. Ale wszyscy mieliśmy dosyć tego siermiężnego, zapyziałego gomulkowskiego socjalizmu. Studenci atakowali wszystko. ZSP też się dostało, że „koryciarze”, że przynajmniej sobie wczasy i nagrody. Był to

bunt pokoleniowy, przeciw beznadziei, głupocie, praśnemu socjalizmowi.

Równocześnie czuliśmy się osamotnieni, czuliśmy obojętność społeczeństwa, brak zainteresowania naszymi postulatami i oczekiwaniami. Zależało nam, żeby nie było wieców na ulicy. Żeby nie było „pałowania”, represji. Żeby nie brali ludzi do wojska. Czuliśmy się odpowiedzialni za środowisko. A równocześnie poczuliśmy, że nie jesteśmy zupełnie bezsilni. Że ten system, nad którym wcześniej nie zastanawialiśmy się, można by było jednak zmienić. To myślenie pojawiło się później, zaowocowało w 1980 r.

Ekstra dygnitarze

Prof. Andrzej Olszanowski - Politechnika Poznańska

Z AKS-em spotkałem się po raz pierwszy w Radzie Okręgowej. To było irytujące, gdy przychodziły do nas takie zgredy i wtykały swoje palce w nasze sprawy. Ale potem sami tak robiliśmy, zwłaszcza w Radzie Uczelnianej, gdy nie podobał nam się przewodniczący Rady. Nasza grupa z Rady Uczelnianej ZSP trzymała się razem i chcieliśmy nasze kontakty kontynuować w różnych formach - wyjeżdżaliśmy na wycieczki, oglądaliśmy razem mecze, dyskutowaliśmy poważniejsze tematy, nawet próbowaliśmy się dokształcać. Potem doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu robić odrębnego klubu.

Ale Klub wydawał nam się z początku klubem extra dygnitarzy, zwłaszcza gdy o nich opowiadał Zenek Wośkowiak Z takimi tuzami jak Wituski, Bobiński, Wolnikowski, Łuczak trudno było się ot tak po prostu zakolegować. Mieliśmy poważne opory, żeby do nich mówić per „ty”.

Klub był - i jest - atrakcyjny ze względów towarzyskich. Tam się spotyka ludzi, z którymi natychmiast można nawiązać kontakt i porozumienie. To dzięki cechom, które wyrobili w sobie działając w starym ZSP. One powodują, że szybko znajduje się wspólny język nawet, jeśli się z kimś nie zgadzasz.

Marek ZARADNIAK

(wykorzystano materiały archiwalne Akademickiego Klubu Seniora)

Muzyka łączy narody i pokolenia

Na pierwszy rzut oka wygląda zupełnie zwyczajnie – to jeden z wielu domów jednorodzinnych na poznańskim Junikowie i tylko skromna tablica przed budynkiem pozwala się zorientować, że w środku jest szkoła muzyczna Casio. Ale to jedna z bardziej niezwykłych szkół w mieście, bo grać na pianinie czy keyboardzie może się tam nauczyć prawie każdy – bez względu na wiek i płeć.

– Pomyśl otwarcia takiej szkoły narodził się już dawno – wspomina twórca placówki i nauczyciel, Sławomir Sikora. – *Przed wszystkim trzeba zacząć od tego, że przez wiele lat pływałem jako muzyk na różnych statkach. To było doskonałe doświadczenie, zetknięcie się z różnymi stylami muzyki, z różną interpretacją... Przez wiele lat grałem w krajach skandynawskich, Finlandii, Szwecji i Estonii. Ogromnym zaskoczeniem był dla mnie fakt, że tam na przykład walca tańczy się i gra znacznie wolniej niż jest to powszechnie przyjęte. Zupełnie inaczej też gra się tango, a w ogóle muzyka tych północnych krain ma w sobie coś odmiennego... Weźmy choćby Sibeliusa, którego muzyka jest tak bardzo związana duchem z tą północną przyrodą, z szumem wiatru i lodowatego morza. A wszystkie te narody kochają przyrodę, dlatego taka muzyka jest im tak szczególnie bliska.*

Po jednym z takich rejsów muzyk stwierdził jednak, że dość już ma pływania: czas osiąść na lądzie i stworzyć tę wyma-

zoną szkołę muzyczną. I trzeba trafiać, że akurat wtedy firma Casio, producent keyboardów, poszukiwała wówczas nauczycieli muzyki chcących pod patronatem firmy założyć szkołę muzyczną. Tak to się zaczęło...

Trudne początki

– *Na początku nie było łatwo, trzeba było przekonywać do siebie rodziców – śmieje się pan Sławomir. – Dobra opinia jest najważniejsza, bo ona przekazana „pocztą pantoflową” może dać dużo więcej niż jakakolwiek reklama. Ale teraz mam już kilkudziesięciu uczniów, a są takie przypadki, że uczą się u mnie i dzieci, i rodzice...*

To właśnie druga niezwykła cecha szkoły – by zacząć się w niej uczyć, nie trzeba być dzieckiem i wykazywać wybitny talent muzyczny. Może przyjść każdy, nawet po 70-tce, byleby chciał grać – bo to właśnie kwestia chęci, a nie wieku czy płci.

– *Może nie każdy z moich uczniów zagra mazurki Chopina, chociaż są takie łatwe opracowania ułatwiające grę – śmieje się pan Sławomir. – Ale każdy z nich nauczy się grać i znajdować radość w samodzielnym odtwarzaniu muzyki i tej poważniej, i tej mniej poważniej. A czy powinno chodzić o coś więcej?*

Teraz wśród uczniów tej niezwykłej szkoły są osoby naprawdę w różnym wieku – jest na przykład ojciec, który na zajęcia przychodzi razem z synem i obaj się uczą grać. Są też studentki, które grały jako dzieci i teraz chcą wrócić do muzyki, są też i dojrza-



sze panie, które teraz, odchowawszy dzieci, mają czas na spełnianie własnych marzeń – i uczą się grać... Podczas jednej ze swoich muzycznych podróży na drodze do Singapuru Sławomir Sikora spotkał pewną Amerykankę, która rozpoczęła naukę gry mając ponad 60 lat po śmierci ukochanego męża – i to właśnie muzyka pomogła jej wrócić do równowagi po tej tragedii.

Koncerty i ... Ania Iwanow

Kilkoma wychowankami pan Sławomir może się już pochwalić. Jedna z jego uczennic wokalistyki dostała się do drugiego etapu „Drogi do gwiazd”. Ale największym sukcesem jest trzecie miejsce 9 - letniej Ani Iwanow na Ogólnopolskim Festiwalu Szkół Casio, który się odbył w czerwcu ubiegłym roku.

– *To był pierwszy duży występ szkoły i od razu z takim sukcesem – cieszy się pan Sławomir. – A muszę dodać, że Ania występowała w jednej grupie z dużo starszymi zawodnikami, uczniami 18 i 19 - letnimi, bo podczas tych festiwali nie ma podziału na grupy wiekowe – ale i tak sobie poradziła. Grała też bardzo trudny utwór – „Dla Elizy” – a jurorzy zachwycili się jego dojrzałym wykonaniem..*

Sama Ania twierdzi, że po prostu lubi grać – i to wszystko. – *A dlaczego lubię? To trudne pytanie – zastanawia się mała pianistka. – Lubię ćwiczyć, cieszę się, kiedy mogę coś zagrać bezbłędnie, to daje mi ogromną satysfakcję. I im trudniejszy utwór, tym bardziej jestem dumna, że się go nauczyłam. Właśnie dlatego lubię grać muzykę poważną, bo jest trudna. Moim ulubionym utworem jest czardasz – on ma bardzo ciekawą budowę i tempo.*

Poza muzyką Ania jeszcze lubi informatykę, że obie wydają jej się podobne. – *Kiedy gram na pianinie, muszę utrzymać tempo i mieć dobry refleks. To się bardzo przydaje, kiedy gram na komputerze, gdzie też są klawisze, a wiele gier jest przecież także na czas – wyjaśnia.*

Jednak, mimo całej fascynacji muzyką, Ania w przyszłości chciałaby zostać... nauczycielką języka polskiego.

– *Mogłabym wtedy rozmawiać z uczniami o książkach – wyjaśnia. – Podczas innych lekcji tyle się nie rozmawia, a ja uważam, że rozmowa jest bardzo ważna. Nie chciałabym być muzykiem, bo jednak za bardzo nerwuję się przed koncertami. I robię się czerwona jak burak... Nie chodzi mi nawet o widzów, cho-*



ciaż to też trudno, jak oni tak wszyscy wpadają się we mnie, ale o to, że się pomylę. Nie chciałabym też uczyć muzyki – czasami pomagam panu Sikorze w zajęciach, ale to bardzo trudne, trzeba zwracać uwagę na upalcowanie, i czy dobrze grają. Myślę, że nauczycielka polskiego zwłaszcza w klasach 1-3 ma jednak trochę łatwiejszą pracę...

Jednak największym marzeniem Ani jest zostanie prawdziwą pisarką.

– *Bo w książkach można opisywać wszystkie swoje pomysły, włączyć je w jakiś temat – i pisać – wyjaśnia Ania. – I to musi być fajnie, kiedy książka jest naprawdę dobra i wszyscy zaczynają ją czytać...*

Dzięki swojemu talentowi Ania jest gwiazdą koncertów, jakie szkoła regularnie przygotowuje w Klubie „Raszyn”. Cieszą się one ogromnym powodzeniem, zwłaszcza te przed Gwiazdką, w których repertuarze dominują kolędy nie tylko polskie, ale i zagraniczne. Koncert na koniec roku, który również jest stałym punktem programu, to swoiste muzyczne podsumowanie kilku miesięcy ciężkiej pracy – i propagowaniem muzyki jako niezwykle ważnej części naszego życia. Bo taki jest kolejny cel istnienia tej szkoły.

– *W szkołach średnich nie ma już muzyki, w podstawowych jest jej niewiele, a tymczasem to niezwykle ważny element ogólnej kultury – uważa pan Sławomir. – Przecież jeszcze przed wojną nie uważano młodego człowieka czy młodej panny za odpowiednio wykształconych, jeśli nie umieli grać na fortepianie. Moze to truiżm, ale muzyka naprawdę łączy wszystkich, bez względu na wiek i narodowość: Polaków, Estończyków, młodych i starych, jest najbardziej uniwersalnym językiem, jaki stworzyła ludzkość. Dziś nie zdajemy sobie sprawy, jaka to ogromna przyjemność zagrać sobie coś samodzielnie, a nie z płyty, zaśpiewać razem z przyjaciółmi, a nie tylko słuchać. Szkoda, bo tracimy w życiu coś bardzo ważnego...*

Lilia ŁADA

fot. Lilia ŁADA, Michał WOŃCIAK

Pożegnanie ulicznej galerii



Elżbieta Jabłońska, *Gry domowe*, 2004

- To ostatnia okazja obejrzenia tych prac - ostrzegali twórcy Zewnętrznej Galerii AMS w Poznaniu. Po czterech latach prezentacji plakatów na ulicznych billboardach w całej Polsce galeria właśnie poznańską wystawą w Galerii Miejskiej „Arsenał” kończy ten etap swojej działalności.

Galeria AMS powstała w 1998 roku jako swego rodzaju protest przeciwko bylejakości i nijakości tego, co można oglądać na wielkich tablicach reklamowych, które dziś są obecne praktycznie na każdym skrzyżowaniu większych miast. Zdaniem twórców galerii na takich billboardach powinna pojawić się także sztuka – bo niby dlaczego reklama ma być bylejaka, a sztuka – elitarna, ukryta we wnętrzach galerii, gdzie bardzo rzadko zagląda tak zwany zwykły człowiek? Na niezwykle eksperyment zgodziło się kilkunastu artystów: wśród nich Katarzyna Kozyra, Paweł Susid, Anna Jaros i Marcin Maciejowski.

- To była próba wprowadzenia sztuki na ulice, w przestrzeń polskich miast. Każda praca była pokazywana przez 2,3 miesiące jednocześnie na 400 tablicach reklamowych największych miast Polski – wyjaśnia Lechosław Olszewski, jeden z twórców galerii.

Trzy odsłony wystawy

Jednak jak każda ekspozycja, także i ta zewnętrznej galerii AMS - dobiegła końca. Jej twórcy postanowili podsumować cztery lata swojej pracy cyklem wystaw w całej Polsce, przypominającym historię galerii. Ekspozycja została podzielona na 3 części: pierwsza to zdjęcia dokumentujące to, co było istotą galerii, czyli prezentacje prac

artystów na billboardach. Druga część była poświęcona reakcji widzów i mediów – a trzeba pamiętać, że plakaty często miały prowokacyjny charakter. W tej części wystawy można więc znaleźć protesty, artykuły i pisma urzędowe o różnym charakterze, bo zdaniem autorów to właśnie one najlepiej oddają specyfikę ekspozycji i jej sens...

Ostatnia część to trzy projekcje video. Pierwsza z nich przedstawiała główne edycje projektu – było ich 19 na 400 tablicach. Druga to dokumentacja wydarzeń jednodniowych i "jednobillboardowych", które na żywo, na gorąco komentowały zjawiska i wydarzenia związane z tym konkretnym miejscem, w którym powstały. Trzeci pokaz to dokument przedstawiający akcję „Sztuka po drodze”, którą zrealizowano dwa lata temu w Krakowie.

Koniec czy początek?

Czy takie nostalgiczne podsumowanie oznacza zakończenie działalności? Twórcy galerii twierdzą, że nie, ale formuła działania będzie teraz już zupełnie inna. Jej głównym zadaniem będzie poprawa sposobu postrzegania reklamy na ulicach miast oraz kreowanie lepszych wzorców estetycznych i funkcjonalnych dla reklamy zewnętrznej. W praktyce oznacza to próbę zbliżenia dwóch zupełnie odmiennych punktów widzenia plakatu – artystów, widzących w nim dzieło sztuki i środek wyrazu artystycznego, oraz twórców reklamy, dostrzegających w nim przede wszystkim rzucający się w oczy nośnik informacji reklamowej pozwalający zwiększyć sprzedaż. Czy to się uda? Cóż, już niedługo sami będziemy mogli się o tym przekonać – na naszych ulicach...

Lilia ŁADA
for AMS

Niekiedy czuję zapach nan...

Jest rok 1980. Świat ma za sobą kryzys paliwowy, pierwsze zachorowania na AIDS, którego grozy jeszcze sobie nikt nie uświadamia. Polska zachłystuje się wolnością i Solidarnością, w Londynie książę Karol poślubia Dianę Spencer. Ameryka liże rany po niefortunnym epizodzie z zakładnikami w Iranie. A ZSRR? Od roku już, realizując swoje mocarstwowe aspiracje, Kraj Rad zajmuje się podbojem niewielkiego, muzułmańskiego Afganistanu. Naprzeciw dobrze wykształconych i – co ważniejsze – wykształconych krasnoarmiejców stają mudżahedzi broniący nie tylko ojczyźnianych gór, ale i wiary przodków.

„Niekiedy słyszę na ulicy strzępy rozmów w paszto lub też huk śmigieł helikoptera. Innym razem czuję zapach chleba nan z indyjskiej restauracji. Wtedy wszystko powraca: potężne góry, upał i pył, wyczerpanie, strach.” W ten sposób kończy swoją opowieść Tom Carew, skromny chłopak z hrabstwa Dorset, którego niezbadane wyroki historii uczyniły cichym bohaterem tamtej odległej i mało znanej wojny.

Carew ze sporą dozą stoicyzmu przyjął swoją drogę życia. „Wstąpiłem do armii, bo dokąd miałem pójść?” zapytuje retorycznie rozpoczynając wspomnienia byłego żołnierza elitarnych wojsk specjalnych, operującego w charakterze nieoficjalnego doradcy wojskowego na pograniczu afgańsko – pakistańskim w początkowym, najgorszym zapewne dla mudżahedów okresie zmagania.

Służba w SAS – elitarnych jednostkach brytyjskich służb specjalnych – uczyła młodych ludzi nie tylko, jak eliminować przeciwnika, ale też wytwarzała specyficzną formę braterstwa broni, odmiennego, lecz równie silnego, jak więzi rodzinne. Doświadczwszy tego uczucia, Tom Carew znalazł się wśród obcych sam jeden, obcy nie tylko rasowo, ale i kulturowo. Ilekroć ten pogodny z natury człowiek w obliczu największego niebezpieczeństwa wspomina z niezmaconym spokojem: „Zatrzymaliśmy się, bo chłopaki musiały się pomodlić”. Chłopaki – to oczywiście islamscy bojownicy – dla których dżihad czyli walka o wiarę zespalał się w jedno z pragnieniem przepędzenia agresora ze swojej ziemi.

Wśród tych fanatycznie religijnych, ale i rozdyktowanych do granic wszelkiej

dyscypliny partyzantów, przybysz z dalekiej Anglii musiał wykazać się tolerancją, pogodą ducha, ale przede wszystkim odwagą. Carew, dla którego są to najwidoczniej naturalne atrybuty dobrego żołnierza, przechodzi na ogół nad tym do porządku dziennego, niejako od niechcenia przytaczając przykłady zdobywania uznania i zaufania swoich współtowarzyszy walki. Jednak ta opowiedziana żywym czasami szokującym obcesowością językiem opowieść (wielka tu zasługa autorki przekładu polskiego) to prawdziwa proza życia. Carew nie stroi się w pióra bohatera, co mógłby uczynić tym łacniej, że wielu spośród jego afgańskich towarzyszy broni zginęło lub przepadło bez wieści. Jest jednak uczciwy zarówno wobec żywych, jak i tych, którzy odeszli.

Pomimo nieuchronnych okrucieństw, jakich dopuszczali się obie strony konfliktu, ze stronnictw tej książki tchnie nieklamany humanizm. Bohater nie jest mordercą, nie jest też bezdusznym automatem do zabijania, każdy zgładzony przez niego Rosjanin jest przede wszystkim człowiekiem, któremu odebrano najcenniejszy dar natury. Carew nie chce przypatrywać się zastrzelonemu przez siebie czerwonoarmistom, choć ma ku temu sposobność. „Nie chciałem oglądać jego twarzy” – mówi w pewnej chwili o zabitym żołnierzu rosyjskim. Z drugiej strony głębokie współczucie budzi w nim widok młodych Afgańczyków – ofiar radzieckiej broni chemicznej. Ten wrażliwy na życie i chłonący go całym sobą człowiek jest wprawdzie żołnierzem, ale nie żołdakiem. Braterstwo broni, solidarność na polu walki są dla niego pięknym wspomnieniem na resztę życia. Tak samo, jak zapach chleba nan, który stanowił częstokroć jedyną strawę.

Gorąco polecam tę nietypową jak na opowieści wojenne, relację prawdziwego żołnierza.

Tomasz DYMACEWSKI

Tom Carew, Dżihad! Tajna wojna w Afganistanie, Zysk i Ska Wydawnictwo s.j., Poznań 2003



Przetrwać!

Przystępując do lektury „Przyszłości życia” Edwarda O. Wilsona, nie przypuszczałem nawet, jak silne wrażenie wywrzeć może ta niewielka książka napisana przez wybitnego entomologa, pozornie pogodzonego z nieuchronnością postępujących wraz z rozwojem cywilizacji przemian. Wydaje się, że mamy do czynienia z nieobowiązującą gawędą uczonogo, który nurtujące go myśli postanowił przekazać w formie popularnonaukowego wykładu, rodzaju dialogu z czytelnikiem. Już jednak prolog, ujęty w formę listu do Henry Davida Thoreau, pisarza, filozofa i rzecznika ochrony przyrody, przedwcześnie zmarłego w okresie wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych, przynosi dramatyczne akcenty. Z jednej strony potęga przyrody, wszechobecnej i wszechogarniającej gwarantować zdaje się przetrwanie życia, także w ekstremalnie niekorzystnych warunkach. Nawet brak tlenu nie przekreśla jeszcze możliwości istnienia różnorodnych form życia. Te prawidłowości dotyczą nie tylko naszej matki – Ziemi, ale i innych planet systemu słonecznego.

Z drugiej jednak strony, przyroda narażona jest na nieustanny, niszczycielski atak toksycznych związków, jakie w nieunikniony sposób rodzi nasza doskonała ponoć cywilizacja. Groźne memento stanowi okładka książki, która pozornie realizuje jedynie z góry założoną koncepcję ilustracyjną. W rzeczywistości patrzymy na 61 gatunków roślin i zwierząt, które bądź wyginęły już, bądź też zagłada może się stać ich udziałem w niedalekiej przyszłości. Wilson ostrzega, że dla likwidacji niektórych gatunków wystarczy kilka lat, w trakcie których nie mamy nawet pojęcia o dotykającej nas stracie. Co więcej, bywa i tak, iż nawet wysiłki podejmowane w celu uratowania tego, co tracimy, mogą – z niezależnych od nas przyczyn – przynieść niepowodzenie. Wystarczy, że przedtem, nieświadomie, naruszyliśmy harmonię otaczającej nas doskonałości. Wilsona niepokoi tempo, w jakim wielu przedstawicieli flory i fauny znika bezpowrotnie z biologicznej mapy świata.



Autor zdaje sobie sprawę z pewnej ograniczeń własnego postrzegania problemu. Jest však przedstawicielem tej części ludzkości, która walczy o zachowanie ginących wartości. W „Przyszłości życia” spotykamy się zatem często z dwugłosem: ekologa – w domyśle samego Wilsona i innych ludzi podobnie myślących – przeciwstawiane racjom ekonomisty. Ów drugi głos ma

również niebagatelne znaczenie, ujmując się bowiem za równym prawem wszystkich społeczności do rozwoju gospodarczego, a co za tym idzie polepszeniem warunków życia. Jest to naturalne i oczywiste marzenie zwłaszcza tych spośród mieszkańców naszego globu, którzy postrzegają rozwój ekonomiczny jako szansę poprawy warunków życia.

My, czytelnicy, nie możemy pozostać wobec owego dialogu neutralni. Autor uświadamia nam, że na swój sposób każdy może mieć wpływ na przyszłość naszej planety, nawet jeśli wydaje się, że nie mamy wielkiego znaczenia i niewiele też od nas zależy. Wilson nakłania do innego myślenia, do odrzucenia tłumaczeń o znikomości jednostkowego wpływu na przyszłość w skali globalnej. Powinniśmy wraz z ludźmi – naszymi sojusznikami w tej niełatwej batalii – postarać się o to, aby przetrwać wraz z możliwie największą liczbą naszych towarzyszy – roślin i zwierząt – bez których niemożliwa stanie się egzystencja rasy ludzkiej na ziemi. Gorąco polecam książkę, która nie tylko stanowi ciekawą lekturę, pod względem poznawczym nieocenioną wręcz, lecz także skłania do refleksji nad naszym miejscem w skomplikowanym i ściśle ze sobą zespolonym światem przyrody.

Tomasz DYMACEWSKI

Edward O. Wilson, Przyszłość życia, Zysk i S-ka Wydawnictwo, s.j, Poznań 2003

Legenda bez przyszłości

Długo obcuje już z serią wydawniczą „Kameleon” i zmiana szaty graficznej musiała przebić się przez skorupę mego konserwatyzmu. Tak się złożyło, że „Mały Przyjaciel” Donny Tartt to pierwsza książka w nowej szacie, jaką wziąłem do ręki. Wrażenie jest pozytywne – teraz czyta się lepiej, przede wszystkim wygodniej. I jest też ta nowa szata bardzo dyskretna, co pozwala tym lepiej skupić się na lekturze. Tyle o szacie, teraz zaś o tym, co pod nią ukryte.

Bez wątpienia, na nową książkę autorki „Tajemnej historii” oczekiwano z zainteresowaniem, które podzielałem. Dekada milczenia to sporo, rodzą się wręcz obawy, że autor wypalił się wraz ze swoim debiutem. Jednak Tartt po prostu postanowiła czekać, aż dojrzeje w niej nowy temat. Jest to tym bardziej istotne, że pisarka sławi amerykańskie Południe, żyjące w swoim własnym rytmie, podobnym wolno toczącej fale rzecze... Znajdujemy się w tym samym Mississippi, w którym przed prawie półtora wiekiem przeżywali swoje niezapomniane przygody Tomek Sawyer i Huck Finn. Dzisiaj, podobnie jak przed wiekami, melodyjne murzyńskie pieśni podkreślają senną codzienność prowincji. Czasem jednak wdziera się w ową monotonię – jak krzyk rozpacz, ponure wydarzenie, które niszczy odwieczną harmonię. Takim incydentem w miasteczku Alexandria okazała się śmierć Robina Dufresnesa, komentowana i roztrząsana w detalach jeszcze przez wiele lat w intymnym kółku lokalnej społeczności.

Mała Harriet, która w chwili śmierci brata miała pół roku, po latach – wciąż jako dziecko – jednak przedwcześnie dojrzała i pełne wewnętrznej pasji, wszczyna na własną rękę śledztwo. Nie jest to tylko odtworzenie tragedii sprzed lat; to także nieświadome i nie zamierzone zgłębianie kroniki upadku własnego rodu: typowej zamożnej rodziny z Południa.

Żywo pasjonując się wątkiem dramatycznym, pełną napięcie i nieoczekiwanych zwrotów akcji walką Harriett o wyświetle nie prawdy, z uznaniem dostrzegamy po drodze szereg znakomicie zarysowanych postaci. Bohaterowie z krwi i kości zapę-

nają karty tej opowieści jakże ludzcy w swoich wzlotach i upadkach, chwilach szczęścia i załamania, w szarej codzienności i nagłych ekstremalnych doznań. Donna Tartt krytycznym okiem przygląda się społeczności dobrze sobie znanej.

Rodzina takich, jak sędziego Cleve, którym każdy kolejny rok odbiera nieco z ich minionego splendoru, autorka bynajmniej nie oszczędza. Ten świat umiera, odchodzi jednak z godnością, pozostawiając swój wyraźnie odcisnięty ślad. Potomkowie, choćby odrzucali cały bagaż przodków, noszą jednak na sobie wyraźnie zauważalne piętno pochodzenia. Jak rodzina Cleve, nie są urodzeni po to, aby zwyciężać, przeć do przodu, lecz po to, aby trwać i świadczyć o bezpowrotnie minionej przeszłości.

Zakończenie „Małego Przyjaciela” niejednego może zaskoczyć. Harriett ostatecznie dopięła swego – przynajmniej tak uważa jej przyjaciel Hely – jednak za cenę ogromnych kosztów, które każą postawić pytanie o ostateczny sens tak pojmowanej walki do końca. Ta historia, podobnie jak dzieje rodziny Cleve i – dodajmy, wielu innych, jej podobnych, okazuje się legendą bez przyszłości. I w tym między innymi tkwi tajemny urok tej mrocznej, ale jakże trudnej do porzucenia, pociągającej głębią obserwacji ludzi i miejsc, opowieści.

Tomasz DYMACEWSKI

Donna Tratt, Mały Przyjaciel. Seria z Kameleonem, Zysk i Ska Wydawnictwo s.j., Poznań 2003



Anioł z piekła i diabeł z raju

Młodzi ludzie – Lisa Kelly i Elliott Slater opowiadają na dwa głosy historię, która im się przydarzyła w czasie i miejscu, gdzie nie powinni realizować wobec siebie nic więcej ponad spełnienie warunków kontraktu. Znaleźli się bowiem w nierównoprawnej pozycji na tajemniczej wyspie, zwanej Edenem. Głęboko ukryta wobec zakusów świata zewnętrznego i wścibskich fotoreporterów, jest ona swoistą szkołą przetrwania dla ludzi, którzy – z różnych przyczyn – przystają na swego rodzaju szkołę przetrwania. Swego rodzaju, ponieważ jednym z najbardziej istotnych elementów spisywanego z kandydatami kontraktu, jest ich zgoda na dwuletnie wykorzystanie jako erotycznych niewolników.

Taki wstęp zapowiadający powieść Anne Rice, powieści, którą napisała pod pseudonimem Anne Rampling, zapowiada burzliwy ciąg dalszy. Jest on w istocie burzliwy, chociaż autorka trylogii "Kroniki wampirów" tym razem nieco zwodzi czytelnika. Mimo masochistycznego sztafetu w erotycznym kostiumie, jest to jednak rzecz o dominacji – psychicznej i uczuciowej. Trudno dziwić się pisarce, że dla silniejszego poruszenia czytelnika stworzyła powieściowy Eden – miejsce, które od razu skojarzyło mi się ze znanym i budzącym po dziś dzień teledyskiem "Relax, d'ont worry" formacji "Frankie goes to Hollywood". Hit ten pochodzi zresztą z okresu, kiedy Anne Rice pracowała nad swoją książką.

Elliott Slater, bezpruderyjnie wychowany młody Amerykanin nieustannie goni za przeżyciami podnoszącymi poziom adrenaliny. Jednocześnie, w głębi duszy pragnie uzależnienia i poniżenia. Podpisując kontrakt na dwuletni pobyt w Edenie, pragnie zapewne uciec od samego siebie. Swoistym pechem okazało się to, że trafił wprost pod opiekę Lisy Kelly.

Jedna z założycielek ekskluzywnego i występnego klubu erotycznych doznań wszelkiego autoramentu, od pierwszych



dni istnienia miała – jak się wydaje – problemy z samoidentyfikacją. Nie w pełni przynależąc do świata realnego, czuła się dobrze w mikro społeczeństwie, zaprojektowanym w myśl jej wyobrażeń i – jak sądziła – potrzeb. Życie w Edenie, na które miała bezpośredni wpływ, jako jedna z osób kierujących klubem, traktowała jako dobrze wykonywaną, zgodną ze swoimi predyspozycjami, pracę zawodową. Potrzeba było

dopiero Elliotta Slatera, aby udowodnić jej, że w gruncie rzeczy brała udział w cyklu mechanicznie wykonywanych rytuałów.

Uczucie jakie połączyło dwoje ludzi – panią i jej niewolnika – nie mogło spełniać się w warunkach społecznego pandemium, nawet jeśli uczestnicy tego spektaklu deklarowali dobrowolność swego udziału. Toteż Lisa podjęła decyzję o ucieczce z wyspy. Poprzedziło ją złamanie zasad i zbadanie prywatnego życia Elliotta, życia, jakie prowadził zanim przybył do Edenu.

Czy ucieczka dwojga bohaterów wzmocniła, czy też osłabiła ich uczucie? Nie, tego czytelnikom zdradzić nie mogę. Powiem tylko tyle, że tytuł nie jest bynajmniej przewrotny i powrót na wyspę stanowi przedprozę do ostatecznego – zaskakującego rozwiązania intrygi. Nie odpowiem też, bo to sekret, czy miłość odniosła ostateczny triumf, czytelnicy znający Anne Rice, a tym samym liczący się z zaskakującym rozwiązaniem, nie doznają rozczarowania. Tak samo jak zresztą i ci wszyscy, którzy zapominając na moment o pruderyjnym wychowaniu starych ciotek wezmą tę książkę do ręki.

Tomasz DYMACEWSKI

Anne Rice jako Anne Rampling, Ucieczka do Edenu, Seria z Kameleonem, Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2003

Poznański karnawał przed laty

Czas szalonej zabawy

Bal prasy gonił bal ziemian, bal ziemianek mieszał się z balem ekonomistów, medycy ustępowali miejsca księgowym, a ci kolejnej nacji. W poznańskich restauracjach i hotelach był tylko czas na wietrzenie, zmianę obrusów i menu. Bawiono się do upadłego. Dosłownie. Trwał karnawał.

Każdego roku czekano na niego z niecierpliwością, a kokosy zbijały wszelkie szkółki i szkoły tańca uczące podrygiwać w rytm muzyki prawdziwej. W XIX wieku jak się człowiek chciał nauczyć nie deptać partnerce po stopach to szedł do Rochackiego, jak chciał się porządnie ubrać to podpatrywał jęmością Huissonem zwanego, a jak wdzianko na kształt kobiece założyć to szedł do Remblowej. Oni byli na topie. Oni i kozia serwantka, której zapasy każdy pan domu miał zachowane na czas kaca.

Nie podeptać

No ba. Cóż zrobić jak słoń na ucho nadeptał, a z tanecznych ruchów jedynie chodzony nam pasuje? Trzeba do Rochackiego. Z tego bądź co bądź słusznego założenia wychodzili wszyscy późniejsi baletmistrze i gnali na Wodną by nauczyć się tańczyć. Rochacki, jak pisze o nim prof. Lech Trzeciakowski był wymagającym nauczycielem, a panienki nie raz oberwały smyczkiem po nogach za błędy w menuecie, gawocie czy kontredansie. Panowie musztrowani jak rekruci też w końcu odzyskiwali słuch i ruchy mieli bardziej sprężyste. A o to wszak chodziło, żeby później wstyd nie było. O.

Ubrać jak należy

Przez lata całe utrapieniem mężczyzn w czasie balu były powłóczyście suknie pań. Bardziej niż na urok tańca trzeba było uważać, by nie urwać damie... ogona. A te ogony zwane trenami rosły i rosły wraz z rusztowaniami ukrytymi pod metrami materiałów. Te powiewne, ogoniaste suknie były straszliwie niepraktyczne, jednak mimo wielkiej niewygody kobiety długo nie potrafiły się z nimi rozstać, choć często po kilku zabawach same musiały odcinać naderwane treny.



W drugiej połowie XIX wieku prawdziwą dyktatorką mody była niejaka Aniela Remblowa, u której w taneczne suknie zaopatrywała się młodsza część poznańszczyzny. Starsza, konserwatywna w ubiorze uważała jej wytwory za udziwnione. – *Zaszłam też do Anieli Remblowej – wspominała Marianna Jasiecka – ale tej sukni nie tylko nie kupiłam, ale nawet nie mierzyłam. Fason jakiś dziwny, choć na pewno modny.*

Wraz z upływem czasu i nadejściem epoki fin de siècle'u połuźniło się i w modzie i w zachowaniu. Już nie tylko dzieci miały swe bale przebierańców. Starsi też pragnęli poczuć się jak księżniczka, czy rycerz. Co głowa, to pomysł. Co pomysł, to dzwinięszy. Marceli Motty wspominał w swych „Przechadzkach po mieście” o balach w których roilo się od chłopów, którzy tak naprawdę chłopami nie byli. Konserwatywniejsi mogli spojrzeć w stronę Tomasza Huissona, który uchodził za mistrza elegancji, a jego podpatrywane ubiory znajdowały szybko naśladowców, szczególnie tych majątniejszych. Moda zmieniała się jak w kalejdoskopie. Kobiety zaczęły być bardziej powłóczyście, a mężczyźni bardziej eleganccy. – *Od czarnych fraków odcinają się powiewne, jedwabne lub palietowe suknie. Panie są piękne. Falują wachlarze i bukiety, błyszczą klejnoty...*



*Przy-
ciszone roz-
mowa, lekka swobod-
na, balowa – oczekiwanie
tańca – wspominała jeden z bali Maria
Wicherkiewiczowa.*

Karnawałowa zabawa szczególnego rozmachu nabrała w latach 30. ubiegłego wieku. W poznańskiej prasie już na długo przed sezonem zabaw ukazywały się praktyczne porady. Stałe rubryki jak Tydzień kobiecy w Ilustracji Polskiej czy w Modnie i praktycznie w Ilustracji Poznańskiej cieszyły się ogromnym zainteresowaniem. Nie lękano się sukienek przed kołana. Preferowano jednak i prostotę. Wybrzydzano natomiast na duże dekolty tak modne w uprzednich latach. No może nie do końca wybrzydzano, bowiem dekolt zmienił miejsce i z biustu trafił na plecy. Taki gust.

Z chłopca snob

Bale były snobistyczne. Za biletami i dla mondu. Ba. Nie wyobrażano sobie by na bal farmaceutów przychodzili murarze, a na bal urzędników hodowcy drobiu. Ci bawili się w swoim towarzystwie. Chociaż

Porady na sezon 1932 Na marmarce

Linie pod oczami najlepiej smarować na noc olejkami migdałowymi wciskając lekko końcami palców w skórę. Rano umaczać wate, pokropić wodą kolońską i zmyć.





Na łupież

Najlepiej używać czarnego mydła smołowego. Po umyciu należy wypłukać włosy w wodzie z boraksem, dwie łyżeczki na niedużą miskę wody. Często szczotkować.

gwoli prawdy, raz spróbowano. Było to w latach 40. XIX wieku. Na fali bratania

się narodu i wiosny ludów zorganizowano bal jak się patrzy. W salach Bazaru zagościli chłopcy z Winiar i Wildy. Biedacy nie bardzo wiedząc jak się ubrać przyszli ubrani normalnie. Nie wiedząc jak tańczyć też tańczyli... normalnie. Po swojemu. Szttywno było, a towarzystwo nie bardzo chciało się bratać. Miał pomóc alkohol. I pomógł. Na krótko. Jak się chłopcy wzięli do tańczenia, to co delikatniejsze paniusie zaczęły uciekać. Kawalerowie też speszeni chyłkiem się wycofali, tak więc w końcu w balowej sali zostali jedynie sami chłopcy. I znów był bal dla snobów. Chłopski bal.

Do utraty tchu

Najbardziej znaną salą balową Poznania była przez lata Sala Biała w Bazarze. Na pierwszy karnawał w 1842 roku przybyło tu 700 osób. Marceli Motty wspomina jeden z bazarowych bali dwa lata później „Przebyłem niemało bali i wieczorków na tej sali, a weselszych nie pamiętam jak w karnawale. Tłumnie zjeżdżano na karnawał ze wsi. Mamom chciało się pokazać córki, córkom chciało się tańca i męża, kawalerii chciało się bawić w rozmaity sposób. Tańczono tu na sali co druga noc przynajmniej”.

Na zamsz

Zniszczone zamszowe buciki najlepiej odnawiać drucianą szczoteczką. Broń Boże jakieś proszki czy okowita. Może to spowodować jedynie rozciągnięcie trzewików.

W późniejszych latach popularne było kasyno wojskowe przy Wrocławskiej czy sale Hotelu Saskiego. Już w XX wieku uznanie gości zyskała „Grand Cafe Restaurant” Popularna Grandka przy Placu Wolności, zasłynęła nie tylko znakomicie prowadzonymi balami, ale i wyśmienitą kuchnią, którą konkurowała z Bazarom.

Bawiono się też w Tunelu Bismarcka przy obecnej ulicy Kantaka. Jak czytamy w Posener Zeitung z 1875 roku do wyszukiwanych gatunków piw podawano tu grochówkę z wieprzowymi uszkami, świebodzińskie kielbaski z magdeburską kapustą, majonez z ryb i angielski rostbef.

Ci o mniej zasobnej kieszeni mogli zajrzeć do Eldorado czy „Cafe und Variete”, które nie cieszyły się jednak zbyt dobrą sławą ze względu na podejrzaną klientelę i panienki lekkich obyczajów. W ostateczności mogli też zorganizować zabawę w domu. I organizowali. Swojskie menu, muzyka z patefonu, lub wujek przegrywający na skrzypcach wystarczyły, by karnawał trafił do każdego. Bez wyjątku.

Na koniec podróży balowej warto zwrócić uwagę na jeden ze zwyczajów, które przez lata towarzyszyły karnawałom. Otóż, gdy kończył się czas zabawy w dobrym tonie było, aby ojciec panienki zaprosił kawalera, który obtarciwowywał mu córkę w czasie karnawału. Kawaler taki był podejmowany w domu wystawnym obiadem, a szczęśliwy tatuś dziękował mu za „dopomaganie córeczkom w odbywaniu trzytygodniowego kursu musico-gimnastyki”. A teraz? Ha, ha. Już to widzę. Tatuś, obiadek i podziękowania. Po prostu nie ten kurs.

Krzysztof SMURA

Na mycie

To przesąd, że mycie zimną wodą utrzymuje młodość. Wieczorem należy myć się wodą ciepłą i mydłem wielokrotnie splukując. Nieprawidłowe mycie jest przyczyną zmarszczek. Uważajmy.



Käthe Kollwitz

i wielki rozmach proletariatu

Nazywano ją rzeczniczką proletariatu, a jej twórczą maksymą było zaskakujące na pozór stwierdzenie, że „piękno to coś szpetnego”. Käthe Kollwitz, bo o niej mowa, była jedną z czołowych postaci niemieckiego ekspresjonizmu przełomu XIX i XX wieku. Prace tej niezwyklej kobiety – 70 grafik – można było oglądać w Sali Marmurowej Centrum Kultury Poznania „Zamek”.

W Polsce twórczość tej artystki może być odbierana nieco dwuznacznie – jej mocna kreska, wyraziste postaci o grubych rysach, uchwycone w schematycznym, patetycznym geście, przypominają nam o tych latach naszej kultury, gdy socrealizm był jedynie słuszną tendencją twórczą. Skojarzenie jest – okazuje się – prawidłowe, bo Käthe Kollwitz była prekursorką weryzmu, a jej prace, ich idea i technika wykonania były niezwykle bliskie socjalistom. I tak jak socjalistom proletariatu był szczególnie drogi jej sercu. Ale tu pierwsze zaskoczenie – jej fascynacja tą grupą społeczną wcale nie miała zabarwienia politycznego. Jak sama pisała w pamiętnikach: „właściwym jednak powodem, dla którego od tamtego czasu do swojej twórczości wybierałam niemal wyłącznie życie robotników, było to, że motywy wybrane z tej sfery po prostu i bezwarunkowo dawały mi to, co uważałam za piękne. Piękny był dla mnie królewiecki tragarz...piękny był rozmach postępowych ruchów w narodzie. Niczym nie fascynowali mnie za to ludzie z mieszczaństwa. Całe to mieszczańskie życie wydawało mi się pedantyczne. Natomiast proletariatu cechował się wielkim rozmachem”.

Piękne było dla niej wszystko: nędza, śmierć, kobieta ze zmarłym dzieckiem czy matka z dzieckiem na ręku. Prace, które stworzyła, zachwycają siłą wyrazu i niezwy-

klą ekspresją, może tym bardziej, że zostały osiągnięte tak oszczędnymi środkami.

Käthe Kollwitz wprowadziła robotników do wielkiej sztuki – i tym zapewniła sobie nieśmiertelność. Jej prace są nie tylko zwykłym zapisem codziennego życia tych ludzi, one są pełne jej głębokiego, osobistego zaangażowania w to, co robiła – i może dlatego nadal są prawdziwe, choć większość artystów reprezentujących ten kierunek sztuki zostało zapomnianych. Ale prace Käthe Kollwitz były sztuką, a nie ideologią – i to właśnie dlatego, do dziś przyciągają tłumy zwiedzających i nie straciły nic ze swojej aktualności...

Wystawę w Sali Marmurowej było można oglądać do 22 lutego.

Lilia ŁADA

fot. CK „Zamek”
Cytat pochodzi z książki
Käthe Kollwitz „Chcę
działać w tym czasie”,
wydanej w Berlinie
w 1972 roku



Nie ustąp nigdy

Nie ustąp nigdy nawet na cal! Tak brzmiało dokładnie hasło, jakie Henry Stamper zawiesił nad kołyską swego pierwotnego syna, Hanka. Na dobrą sprawę było to jedyne dziedzictwo, przekazywane w spadku w rodzinie Stamperów, jeśli nie liczyć staro domostwa w niegościnniej okolicy i skłonności do pływania pod prąd – zarówno rzeką, jak i w życiu. O surowym rodzie drwali z oregońskich lasów napisał obszerną książkę Ken Kesey, znany w Polsce głównie z kultowego „Lotu nad kukulczym gniazdem”.

„Czasami wielka chętką” to wcześniejsza powieść Kesey’a, powstała w początkach lat 60. Mimo to wciąż aktualna, choć Ameryka od czasów Hanka Stampera i jego upartej rodziny znacznie się odmieniła. Być może tym bardziej należy podziwiać i cenić sobie uporczywość, z jaką Stamperowie przeciwstawiali się naturze, i bliźnim, którzy widzieli w nich zawalidrogów, utrudniających wprowadzanie nowego porządku, przywiązanych do starych, niemodnych wartości. Zarazem powszechnie zazdrościono im życiowego fartu, który pozwalał z lekkością usuwać z drogi przeszkody, na których potykali się i wyłamywali sobie zęby inni.

Przecież nie zawsze tak było. Od czasu do czasu nawet twardzi Stamperowie załamywali się pierzchając z Oregonu gdzie pieprze rośnie, gdzie żyje się łatwiej. Tak uciekł patriarcha rodu, Jonas, tak w ucieczce szukał wybawienia przed samym sobą przystojny Ben. Lecz zdrowy pierś Stamperów pod wodzą starego, twardego Henry’ego wczepił się pazurami w brzeg rzeki, walcząc, czasami przegrywając, a nieraz płacąc za wolę walki najwyższą cenę.

Powieść Kesey’a nie jest lekturą łatwą. Skonstruowana została wielowątkowo. Pozbawiona stalego narratora, przrzucająca się swobodnie z miejsca na miejsce, naświetlająca problemy z kilku, odmiennych nieraz punktów widzenia bez reszty pochłania uwagę czytelnika, zmuszając go zarazem do intensywnego śledzenia akcji. Takie jest jednak prawdziwe życie, tak właśnie układa się zmienność ludzkich losów, do tego stopnia skomplikowane są motywy ludzkich działań.

Kesey nie waha się wciągnąć czytelnika aż do głębi tej gry życia.


Chcąc nie chcąc, bierzemy czynny udział w konflikcie przyrodniczych braci: Hanka i Lelanda, którzy tak od siebie różni, są jednak przede wszystkim Stamperami i w obliczu wspólnego im niebezpieczeństwa wybiorą wspólną walkę pomimo dominujących na co dzień uprzedzeń. W ich rywalizację, która staje się pośrednią przyczyną tragedii, zostaliśmy wciągnięci wraz z ich najbliższymi. To w tym drzemie między innymi geniusz Kesey’a – pełnego pasji, lecz jednak bezstronnego obserwatora życia. To nam czytelnikom, przypada w udziale dokonać wyboru, opowiedzieć się po jednej ze stron i wraz z nią podzielać sympatie i antypatie.

Czytając tę wczesną powieść Kesey’a zastanawiałem się nad postępującymi zmianami w mentalności Amerykanów. Dziś w poszukiwaniu ludzi twardych, kierujących się na równi uporem i przywiązaniem do własnego kanonu zasad, narzucających innym, zapewne udać byśmy się musieli do wielkich miast, pomiędzy przedstawicielami wolnych zawodów, czy ludzi biznesu. Amerykańska prowincja skarłała i zszarzała, trudno oprzeć się wrażeniu, że w życiu codziennym zatriumfowali wrogowie Stamperów. Może jest jednak i tak, że amerykańska literatura lęka się dziś ukazowania bohaterów szlachetnych, choć na swój sposób konserwatywnych i w świetle panujących dziś poglądów – staroświeckich. Wraz z nimi w lamusie spoczęła też zasada „nie ustępuj ani na krok!” obca elastycznej taktyce przetrwania za wszelką cenę. Z tym większym wzruszeniem czyta się książkę o ostatniej generacji pionierów: twardych a zarazem wrażliwych, pozornie oschłych, a pełnych wewnętrznego żaru.

Tomasz DYMACEWSKI

Ken Kesey, Czasami wielka chętką, Seria z Salamandrą, Dom Wydawniczy REBIS sp. z o.o., Poznań 2003





**Z nami
w Unii**

Bank Absolwenta

System stypendialny


Ulgi edukacyjne

Biuro Karier



ul. R. Strzałkowskiego 5/7
60-854 Poznań
tel. 848-30-34, 848-30-35,
847-49-34

ul. Jana III Sobieskiego 15a
40-094 Katowice
tel. 032 258 89 49,
032 781 57 56



**studiujesz,
pracujesz**

**Studia
licencjackie,
magisterskie
i podyplomowe**

Wydział
Dziennikarstwa
i Komunikacji
Społecznej

Wydział
Zarządzania
i Marketingu

Wydział
Zamiejscowy
w Katowicach

www.wsus.poznan.pl